



NAN RYAN



Miłość w eterze

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wsiadając do błyszczącej limuzyny, Kay Clark uśmiechnęła się do szofera, który przytrzymał drzwiczki wozu. Wysoki, szczupły mężczyzna w eleganckim uniformie powitał ją na lotnisku, wyjaśniając, że Sam Shults nie mógł wyjechać po nią osobiście, lecz przysłał samochód. Według słów kierowcy mieli udać się do hotelu na przedmieściach Denver.

Teraz, w chłodnym, klimatyzowanym wnętrzu, Kay oddychała z ulgą, spoglądając przez szybę na lejący się z nieba skwar. Po chłodach Kalifornii panujący w Denver upał był rzeczywiście trudny do wytrzymania. Zdjęła ciepły żakiet, tak przydatny na Zachodnim Wybrzeżu, i odgarnęła z szyi wilgotne teraz, lekko srebrzyste włosy.

- Przepraszam za ten upał - zwrócił się do niej szofer z uprzejmym uśmiechem. - Taka pogoda musi być zupełnie nie do zniesienia dla osoby przybywającej z Los Angeles.

- Jest gorąco - przyznała Kay - ale Denver to moje rodzinne miasto, nie jestem więc zaskoczona. Byłam tutaj zresztą na początku września.

Kay obserwowała z rozczeniem drogie jej sercu ulice miasta, które uważała za swoje. Milczący, dyskretny kierowca zdawał się czytać w jej myślach.

Mijając znacznie szybszą trasę prowadzącą na przedmieścia, skręcił w Colorado Boulevard, a potem Cherry Creek Drive, jedną z najpiękniejszych ulic Denver, ozdobioną wypielegnowanymi klombami i bujną zielenią.

Zatrzymali się dokładnie przed wejściem imponującego hotelu Brown Palace. Kay mieszkała tutaj tylko raz. Podobnie jak przed pięciu laty, również teraz zachwyciła ją architektura tej z rozmachem pomyślanej budowli. Wzrok dziewczyny automatycznie powędrował w górę, gdzie ponad balkonem widoczne były drzwi pokoju 503.

Kay obróciła się i podeszła do uśmiechniętego recepcjonisty.

- Nazywam się Kay Clark - zaczęła niepewnie. - Przyjechałam do...

- Tak, oczywiście. - Mężczyzna rozpromienił się na jej widok. - Pamiętam panią. Występowała pani w radiu Q102 z Sullivanem Wardem.

- To prawda i...

- Sam Shults pytał już, czy pani dojechała do nas. Witamy znowu w Denver i Brown Palace. - Pstryknął palcami i natychmiast pojawił się przy nich boy hotelowy.

- Dziękuję, dobrze jest wracać do domu - odparła Kay.

- Cieszymy się, że pani wróciła. Wszyscy czekają z niecierpliwością, by znów usłyszeć panią na antenie z Sullivanem Wardem. - Podał klucz stojącemu obok chłopcu. - Zaprowadź panią do pokoju 503.

- Nie, ja... czy nie macie innego... to znaczy...

- Czy coś jest nie tak, pani Clark? Pan Shults prosił, byśmy dali pani jeden z naszych najładniejszych pokoi. Dlatego więc...

- Pokój 503 bardzo mi odpowiada, dziękuję - powiedziała Kay. - Odwróciła się, by podążyć za wysokim blondynem, który niósł jej skórzane walizy.

- Czy ma pani więcej bagaży? - zapytał zdyszany, kiedy znaleźli się w pokoju.

- Nie, to wszystko. - Kay uśmiechnęła się, wręczając mu napiwek.

- Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę pytać o Rona. - Wcisnął pieniądze do kieszeni i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Kay odetchnęła głęboko, zanim odważyła się spojrzeć na obszerny, wysoki pokój, pośrodku którego stało ogromne mahoniowe łóżko. Znajdowało się dokładnie w tym samym miejscu owej nocy przed pięciu laty. Pamiętała jeszcze szafirowoniebieski kolor prześcieradła.

Teraz przeszła pośpiesznie przez pokój i gwałtownym ruchem zrzuciła na podłogę obleczoną jedwabiem, puchową kołdrę. Jęknęła, dostrzegając pod

spodem szeroko rozpostarty niebieski materiał. Miała wrażenie, że raz jeszcze widzi rozciągnięte swobodnie na miękkim materacu ciało szczupłego, muskularnego mężczyzny. Pokryty ciemnym zarostem tors falował rytmicznie.

Tak właśnie zostawiła go tamtego ranka. Odeszła po cichu, bez słowa pożegnania. Wyglądał wówczas tak pięknie, leżąc nago pośrodku wielkiego łóża.

Jej uwagę zwrócił bukiet herbacianych róż stojący na komódce. Wśród żółtych pąków znalazła kartkę:

Przepraszam, że nie mogłem wyjść po ciebie; byłem bardzo zajęty. Postaram się to wynagrodzić. Wraz z moją żoną i Sullivanem Wardem chcielibyśmy zaprosić cię dzisiaj na kolację. Przyjedziemy po ciebie o wpół do dziewiątej.

Witaj z powrotem!

Sam Shults.

Drżącą ręką Kay odłożyła liścik. Dokładnie za godzinę miała znów zobaczyć Sullivana Warda.

Sullivan wycierał ręcznikiem mokre, smukłe ciało. Potem bosy, z przewiązanym w pasie ręcznikiem, wszedł do wyłożonego sosnową boazerią pokoju i wyjął z barku karafkę whisky. Odrobinę alkoholu zalał wodą sodową, dodając lód i plasterek cytryny.

Do licha z Kay Clark. Cóż może go ona obchodzić. Pięć lat temu zadała mu ból, teraz zaś wracała, kiedy stare rany zdążyły się wreszcie zabiżnić. Tym razem jednak nic z tego. Będzie w restauracji, by powitać swą dawną partnerkę z porannej audycji, udając, że cieszy się z jej powrotu. Jeśli Sammy Shults chciał, by prowadzili program wspólnie, trudno, to on jest szefem. Tłumaczył Samowi, że jedynym powodem powrotu Kay jest klęska, jaką poniosła na antenie w Los Angeles. Mała zmijka powracała teraz do drugiej ligi, by tutaj czekać na lepszą okazję.

Sullivan zapiał guziki koszuli i włożył spodnie od ciemnego garnituru. Może przy odrobinie szczęścia przed Bożym Narodzeniem Kay Clark otrzyma korzystniejszą propozycję i zabierze z Denver swój zgrabny tyłek. Sullivan usiadł na łóżku, by włożyć skarpety i brązowe, skórzane buty. Może zresztą jej kształty nie są już tak ponętne jak kiedyś. Może zjadła któregoś razu o jedną pizzę za dużo, nigdy nie potrafiła się im oprzeć, i jest teraz tak gruba jak niegdyś była wysoka. Może ścięła swoje długie srebrzyste włosy i odrosły jej żółte, sztywne kosmyki.

Sullivan wstał, zawiązał jedwabny krawat i włożył marynarkę. Zerknął szybko na zegarek i zadrżał. Była dokładnie ósma.

Wspierając się na ramieniu uśmiechniętego serdecznie Sama Shultsa, Kay przekroczyła próg restauracji. Pewną miną starała się zamaskować zdenerwowanie.

Z drugiej strony szefa rozgłośni Q102 szła jego sympatyczna, pulchna żona, Betty Jane, również uradowana z powodu powrotu Kay.

Roześmiana trójka minęła główną salę, przechodząc na oszklony, kameralny taras. Przykryte białymi obrusami stoliki otaczały wygodne, skórzane kanapy. Zielone rośliny wypełniały każdy centymetr przestrzeni, opadając malowniczymi kaskadami z umocowanych wysoko półek.

Elegancka dama w czarnej, długiej sukni poprowadziła ich do stolika. Przed nimi rozciągała się migocząca światłami panorama miasta.

- Usiądź tutaj, kochanie - powiedział Sam Shults, ujmując łokieć Kay. - Ja zajmę miejsce przy Betty, a kiedy pojawi się Sullivan, będzie dotrzymywał ci towarzystwa.

- Doskonale - odparła uprzejmie Kay, czując ucisk w żołądku na samą myśl o tym, że obok niej na niewielkiej kanapie ma zasiąść Sullivan Ward.

- Kay, przysięgam, że wyglądasz piękniej niż kiedykolwiek. - W głosie Betty Jane słychać było entuzjazm. - Jestem pewna, że kiedy Sullivan zobaczy cię dziś wieczorem, z jego czoła zniknie wreszcie ta chmurna zmarszczka.

Sam Shults posłał żonie wymowne spojrzenie, nakazując jej milczenie.

- Kochanie - zbeształ ją łagodnie. - Nie powinnaś tak wiele...

- Samuelu Johnie Shultsie, nie mów mi, co powinnam, a czego nie powinnam robić. - Betty uśmiechnęła się do męża, który westchnął teraz z rezygnacją.

- Nie zwracaj uwagi na słowa Betty - zwrócił się do Kay. - Ona zawsze była skłonna do przesady, gdy chodziło o Sullivana. Można by pomyśleć, że jest jego matką. Zauważa najmniejszą oznakę niezadowolenia na jego twarzy i natychmiast...

- Czy Sullivan jest bardzo niezadowolony z mojego powrotu?

- Dlaczego, Kay? Jak mogło ci przyjść do głowy coś podobnego? Wiesz przecież...

Betty przerwała mężowi.

- Kay, wiesz, że nigdy nie lubiłam owijać prawdy w bawełnę. Sullivan nie był zachwycony, kiedy dowiedział się, że wracasz, by prowadzić wraz z nim poranny program. W rzeczywistości powiedział...

- Do licha, Betty, kto jest szefem rozgłośni, ja czy ty? - Wyraźnie niezadowolony Sam przywołał kelnera. - Czego się napijesz, Kay?

- Proszę o kieliszek białego wina - odparła cicho. Betty Jane, zamówiwszy *piña colada*, znów zwróciła się do niej, lecz tym razem szczęśliwie zmieniła temat.

- W zeszłym roku na wzniesieniu za domem zbudowaliśmy nowy basen. Koniecznie musisz odwiedzić nas w czasie weekendu - ciągnęła.

Kay potakiwała uprzejmie głową, z trudem jednak udawało się jej skupić uwagę, gdy sympatyczna pani Shults wyliczała kolejne udoskonalenia, na jakie wraz z Samem zdecydowali się w swojej posiadłości. Sącząc powoli wino, Kay starała się rozluźnić napięte mięśnie. Dlaczego tak bardzo zdenerwowały ją słowa Betty dotyczące reakcji Sullivana? Nie spodziewała się przecież, że ucieszy go wiadomość o jej powrocie. Była przygotowana na nieprzyjemne

uwagi i zgryźliwe docinki. Sullivan potrafił być bezwzględny i bezlitosny, kiedy ktoś uraził jego dumę.

Kay zacisnęła zęby.

Zniesie jego złośliwości. Nie jest już dziewiętnastolatką, która pozwalała rozstawiać się po kątach. Sterował nią całkowicie, od chwili kiedy została jego partnerką w porannym programie. Miała wówczas zaledwie siedemnaście lat i wszystkich zaskoczyła decyzja Sullivana, by to ona właśnie towarzyszyła mu na antenie.

Sullivan nie przejmował się plotkami i kazał również jej nie zwracać na nie uwagi. Wysłała mu taśmę, podobnie jak inne kandydatki na prezenterki. Sullivan przesłuchiwał cierpliwie nadesłane materiały. Głos Kay zaintrygował go. Nie wiedział wówczas, że należy on do nastolatki, która nie ma żadnego doświadczenia w pracy na antenie.

Kay wciąż pamiętała zdumienie, jakie odmalowało się na twarzy Sullivana Warda, kiedy nieśmiało uchyliła drzwi jego biura. Szybko opanował się, zaprosił ją do środka, a potem starał się możliwie jak najuprzejmiej powiedzieć, że ich współpraca jest zupełnie niemożliwa.

- Kochanie - zaczął łagodnie - muszę przyznać, że masz cudowny głos i niewątpliwie duży talent, ale...

- Ale co takiego, panie Ward? - przerwała mu.

- Jesteś, kotku, zbyt młoda na to, by w ogóle pracować gdziekolwiek.

Powinnaś być jeszcze w szkole. - W jego ciemnych oczach błyszczało rozbawienie. - Ile masz lat, Kay?

Uniosła głowę.

- W przyszłym roku skończę osiemnaście, panie Ward. Jeśli zaś chodzi o moje wykształcenie, rok temu skończyłam liceum i w tej chwili studiuję zaocznie na uniwersytecie w Denver. - Sullivan zaśmiał się głośno, kiedy z kolei ona zadała pytanie: - A ile pan ma lat, panie Ward?

- W tym roku będę miał trzydzieści, więc, jak sama widzisz, różnica wieku pomiędzy nami...

- Nie ma żadnego związku z celem mojej dzisiejszej wizyty. Przysłałam taśmę, która spodobała się panu. Teraz należy mi się szansa nagrania audycji i mój wiek nie upoważnia...

- Zgoda, zgoda. - Uniósł w górę ręce. - Wygrałaś, Kay Clark. - Z uśmiechem obszedł swoje szerokie biurko, chwycił ją za rękę i skierował w stronę drzwi. - Chodźmy więc nagrać tę taśmę. Widzę, że jesteś bardzo zdecydowaną młodą damą.

- Czy to źle? - spytała znacznie górującego nad nią wzrostem mężczyznę. Sullivan Ward spojrzał w oczy szczupłej blondynki, a potem potrząsnął głową.

- Mam nadzieję, że nie, ponieważ ja jestem taki sam.

- A więc, czy przyjdiesz, Kay? - Lekko piskliwy głos Betty Shults przywrócił Kay do rzeczywistości.

- P... przepraszam, Betty. Co mówiłaś?

- Czy dobrze się czujesz? Mam wrażenie, że byłaś gdzieś bardzo daleko. - Betty przyglądała kasztanowe włosy, wypila łyk ananasowego drinka i zwróciła wzrok na Kay.

- Naprawdę nic mi nie jest - usprawiedliwiała się dziewczyna. - O co pytałaś? - Uśmiechnęła się, postanawiając w duchu, że tym razem będzie bardziej przytomnie uczestniczyć w rozmowie.

- Proponowałam jedynie, byś odwiedziła nas w niedzielę. Moglibyśmy upiec na grillu steki i popływać.

- Na Boga, Betty, przecież ona dopiero co wysiadła z samolotu - wtrącił się Sam Shults. - Daj jej trochę czasu. Dziewczyna musi poszukać mieszkania, poznać zespół i... zastanawiam się, co zatrzymało Sullivana. Umieram z głodu. Założę się, że ty również, Kay.

Kay czuła, że nie byłaby w stanie przełknąć nawet jednego kęsa.

- Trochę tak. - Jej wzrok wędrował ku drzwiom, w których lada moment miała ukazać się wysoka sylwetka Sullivana. Podniosła do ust kieliszek, pragnąc uciszyć szaleńcze bicie serca.

- Panie Shults. - Ubrany w ciemny smoking kierownik restauracji pojawił się przy ich stoliku. - Przepraszam, że niepokoję. - Ukłonił się siedzącym po obu stronach Sama kobietom. - Jest telefon do pana.

Wiedziała dobrze, kto dzwoni. Uśmiechała się spokojnie do powracającego Sama, na którego twarzy wyczytała zażenowanie.

- To Sullivan - oznajmił cicho. - Bardzo przepraszał, ale nie może przyjść dziś wieczorem. Wygląda na to, że...

Kay nie słyszała dalszych słów Shultsa. Ważne było tylko jedno. Nie zobaczy dzisiaj Sullivana Warda. Czowała jednocześnie ulgę i rozczarowanie.

Jej zadanie było o wiele trudniejsze, niż tego oczekiwała.

Sullivan Ward odłożył słuchawkę i gwałtownie pociągnął węzeł krawata. Zrzucił z ramion kosztowną marynarkę i cisnął ją w kąt pokoju. Desperacko szarpnął zapięcie koszuli, aż kilka perłowych krawców potoczyło się po podłodze. Ze szklanego blatu stolika wziął pustą niemal paczkę papierosów i złotą zapalniczkę. Włożył papierosa pomiędzy ściśnięte wargi, zapalił i zaciągnął się. Potem jego wzrok bezwiednie powędrował ku wyrytym w złocie małym literkom: Sul. Nikt poza Kay nie mógł zwracać się do niego w ten sposób.

Zapalniczka stuknęła o płytę sosnowej boazerii.

W cichym, pogrążonym w półmroku pokoju zabrzmiało to jak eksplozja.

Sullivan miał wrażenie, że to w jego sercu coś pękło z wielkim hukiem.

- Naprawdę nie przeszkadza mi to, że Sullivan nie przyjdzie. Dzięki temu mogę bardziej nacieszyć się waszym towarzystwem. - Kay uśmiechnęła się serdecznie do wyraźnie zmartwionego Sama Shultsa.

Kiedy Betty odezwała się, w jej głosie słychać było nutkę satysfakcji.

- Mówiłam, że nie przyjdzie. Wiedziałam o tym od samego początku...

- Sullivan nie przyszedł, ponieważ niespodziewanie przeszkodziło mu coś ważnego i...

- Och, oczywiście - przerwała mężowi Betty z sarkazmem w głosie - prezydent z małżonką wpadli na drinka w chwili, kiedy miał właśnie wyjść. - Uśmiechnęła się do Kay. - Lub też wybuchł pożar w jego garderobie i Sullivan nie miał co na siebie włożyć.

- Wystarczy. - Sam przerwał jej stanowczo. - Zabierzmy się do jedzenia.

Kuchnia w tej restauracji była zawsze wyśmienita, tego wieczoru jednak Kay z trudem przełykała każdy kęs. Odczuła prawdziwą ulgę, kiedy starsza para odwiozła ją do hotelu. Zmęczona, zdjęła szybko jedwabną suknię i koronkową bieliznę, by po chwili stać już pod gorącym strumieniem prysznica.

Potem, ziewając, ubrana w cienką, beżową piżamę, wsunęła się pomiędzy chłodne prześcieradła. Zgasła lampę, pewna, że natychmiast zaśnie po tak długim i wyczerpującym dniu.

Przestronny pokój zalewało mgliste, niebieskie światło. Jej oczy błędziły po stojących wokół sprzętach, by zatrzymać się wreszcie na bukietach róż. Tamtej nocy także stały tu róże, tuziny róż, wszystkie przysłane przez Sullivana Warda. Róże, szampan i Sullivan Ward. Czas znów cofnął się, wypełniając jej oczy łzami jak tyle już razy w ciągu ostatnich pięciu lat. Znów miała dziewiętnaście lat i zapach róż przyprawiał ją o zawrót głowy. Smak szampana na gorących ustach obsypujących ją pocałunkami. Głęboki, męski głos szepczący słowa czułe i namiętne. Ciepłe, pewne dłonie wędrujące po jej ciele.

To była jej ostatnia noc w Denver. Następnego dnia wyjechała do Los Angeles, by rozpocząć pracę w jednej z najlepszych kalifornijskich rozgłośni. W ów upalny, sierpniowy wieczór Sullivan zabrał ją na kolację. Miała na sobie lekką bawełnianą sukienkę, cudownie podkreślającą jej młodzieńczą figurę. Długie włosy, spięte niedbale, opadały błyszczącą kaskadą prawie do samej talii.

Sullivan, chłopięco przystojny w bawełnianej koszulce i spranych niebieskich dżinsach, zabrał ją na pizzę do ulubionej przez nią włoskiej restauracji.

Śmiali się i żartowali przez cały wieczór, starannie unikając rozmowy na temat wyjazdu. Na długo przed północą Sullivan zdecydował, że powinni wracać, skoro samolot Kay odlatuje wcześniej rano następnego dnia. Trzymając się za ręce, bez jednego słowa wyszli z windy na piątym piętrze Brown Palace i stanęli przed drzwiami pokoju 503. Sullivan otworzył drzwi i przepuścił Kay do środka.

Kiedy sięgnęła do kontaktu, by zapalić światło, powstrzymał jej rękę. Gdy pochylił się ku niej, oparła dłonie na jego torsie i rozchyliła wargi, by przyjąć pocałunek.

- Och, Kay, moja Kay - słyszała szept Sullivana.

Westchnęła, kiedy pocałował ją mocniej. Splotła ręce na jego szyi, opuszkami palców dotykając miękkich, ciemnych włosów.

Uwielbiała jego pocałunki. Pieszczoty Sullivana zawsze rozpalały w niej ogień; od tego dnia, kiedy po raz pierwszy spotkały się ich wargi pewnego mroźnego, zimowego poranka. Wpadła wtedy do sali nagrań z czerwonym nosem, szczękając zębami. Sullivan wstał wówczas, podszedł do niej, a potem wziął w ramiona. Bez słowa uniósł kciukiem jej brodę i pocałował, wypełniając żarem jej zmarznięte ciało.

Od czasu tamtego śnieżnego poranka całował ją często, za każdym razem rozpalając w sercu Kay ten sam płomień. Pragnęli siebie, czując wyraźnie, że pocałunki, choćby najcudowniejsze, nie nasycą ich żądz. Jego ciało drżało, kiedy wielokrotnie, wbrew własnej woli, odpychał ją od siebie.

Nie tamtej nocy jednak.

Całował ją wtedy z pasją i gwałtownością, która dorównywała odczuwanej przez nią żądz. Kiedy oderwali od siebie usta, by złapać oddech, Sullivan, dysząc ciężko, skierował ją w stronę łóżka. Chętnie przysiadła na

brzegu, patrząc, jak Sullivan zdejmuje koszulkę. Z zachwytem przyglądała się muskularnym, smagłym ramionom i szerokim barkom. Mata czarnych włosów pokrywała jego tors, coraz bardziej zwężając się ku twardemu podbrzuszu.

Potem usiadł obok niej, obejmując Kay ramieniem.

- Kochanie - powiedział chrapliwie, nakrywając dłonią jej pierś - to nasza ostatnia noc. Pocałuj mnie, skarbie, na pożegnanie. Pocałuj mnie.

- Sul - szepnęła, pocierając dłońmi jego gładko wygolone policzki.

Powoli wsunęła koniuszek języka pod jego górną wargę, tak jak ją tego nauczył. Jęknął i pociągnął ją do siebie. Kiedy całowali się zachłannie, czuła, jak włosy jego torsu delikatnie drażnią jej sutki. Instynktownie przylgnęła mocniej do rozpalonego ciała mężczyzny.

Jego usta wędrowały teraz po jej policzku, aż wreszcie zatrzymały przy delikatnej muszli ucha.

- Kay, chciałbym czuć dotyk twoich piersi, kochanie, choć przez chwilę - szepnął.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, jego język znów wsunął się pomiędzy jej wargi, a zręczne palce rozplątywały węzeł paska od sukni. Już po chwili opadła dzieląca ich bawełniana tkanina. Nie skrepowane ubraniem pełne piersi Kay unosiły się szybko, jej wargi drżały i dziewczyna spuściła wzrok.

- Sul - zaczęła niepewnie.

- Kochanie - uspokajał ją łagodnie, gładząc miękką, jedwabistą skórę dziewczyny. - Jesteś tak piękna. Nie wstydz się mnie. Spójrz na mnie, skarbie.

Powoli podniosła wzrok. Kiedy kciukami drażnił różowe czubki jej drobnych piersi, westchnęła.

- To przyjemne, Sul. Takie przyjemne.

- Mój skarbie - powiedział cicho, przytulając Kay do siebie. - Obejmij mnie.

Zaplotła dłonie na jego plecach, ciasno przylegając do ciała Sullivana. Tak cudownie było dotykać jego rozpalonej skóry, wdychać męski, piżmowy

zapach. Raz jeszcze uniósł przechylił do góry jej twarz i znów spotkały się ich wargi.

W jego pocałunku była miłość, namiętność, pożądanie. Miażdżył jej usta z dziką gwałtownością, ujawniając uczucia, które dawno już zrodziły się w jego sercu. Oddychał ciężko, a w jego oczach płonął ogień.

Czuła pod plecami chłód prześcieradła, zaś Sullivan spoglądał na nią z góry, wsparty na łokciu, mówiąc słowa, które zawsze pragnęła usłyszeć.

- Mój Boże, czy wiesz, od jak dawna pragnąłem zobaczyć cię taką właśnie, patrzeć na ciebie - wyznał. Delikatnie gładził jej pierś, dotykając kciukiem twardego wierzchołka.

- Sul - szepnęła, z zapalem wędrując palcami po muskularnym torsie - ja także pragnęłam tego, ja...

Nie dokończyła zdania. Znów czuła na wargach smak jego ust, jego twarde ciało napierało na jej nagie piersi. Zanurzyła palce w miękkie włosy Sula, z zachwytem ocierała sutki o jego twarde, gorący tors. Kiedy poczuła dłoń przesuwającą się w dół jej wąskiej talii i dalej po tkaninie bawełnianej spódnicy, nie próbowała go powstrzymać. Nie protestowała, kiedy jego spragnione palce zaczęły posuwać się potem w górę jej uda, teraz nie okrytego już tkaniną.

Nie wiedziała nawet, kiedy i w jaki sposób pewne, zręczne ręce zsunęły z niej figi, jak przez mgłę pamiętała jedynie błysk białej koronki w powietrzu.

Ciepła dłoń pieściła jej drżące udo. Słyszała koło siebie tak drogi sercu głos.

- Muszę cię dotknąć, Kay. Muszę, skarbie. Nie zranię cię. Nigdy nie mógłbym cię zranić.

- Tak - szepnęła tylko, kiedy jego długie szczupłe palce zmierzały do miejsca, którego nigdy dotąd nie dotykały dłonie żadnego mężczyzny. - Tak, tak - powtarzała spieczonymi wargami, odkrywając nową, nie znaną wcześniej przyjemność.

Pieścił ją delikatnie i czule, patrząc cały czas w jej słodką, spłonioną twarz. Kay wiała się, przywierając do niego mocno, a w jej oczach malował się zarówno strach, jak i szczęście.

- Tak, najdroższa, tak właśnie - uspokajał ją, cierpliwie ucząc Kay sekretów jej pięknego, młodzieńczego ciała. Kiedy odrzucała głowę w przód i w tył, szepcząc jego imię, Sullivan kontynuował atak, czując napięcie własnej rozbudzonej męskości.

Kiedy wreszcie doprowadził ją na szczyt, w oczach Kay pojawiło się nagle zdumienie. Przywarła do niego mocno, a jej paznokcie wbiły się bezwiednie w nagie barki Sullivana. Uśmiechał się do niej, wciąż gładząc ją rytmicznie i powtarzając łagodnie:

- Tak, skarbie, jestem tutaj. Nie opuszczę cię.

Kiedy leżała już spokojna u jego boku, chętnie pozwoliła, by Sullivan zdjął z niej resztę ubrania. Wkrótce, oboje nadzy, obejmowali się na zasłanym szafirowymi prześcieradłami łóżku. Na nocnym stoliku stała opróżniona do połowy butelka szampana, a pokój przesycony był zapachem róż. Dokończyli swój miłosny akt, a wpadające przez okno światło zalało pokój mglistym, błękitnym blaskiem. Kiedy Sullivan powoli opuszczał na nią swe gładkie, nagie ciało, Kay wiedziała, że ból penetracji będzie niczym w porównaniu z bólem rozstania. I nie myliła się.

Kay otarła łzy, które niespodziewanie wypełniły jej oczy. Jak bliska była prawdy o tamtej nocy wiele lat temu. Rozstanie z Sullivanem rzeczywiście sprawiło ból. I to im obojgu.

Mimo to jednak odeszła, lekkomyślnie tłumacząc sobie, że tylko on jest temu winien. Nie prosił ją, by została. Nie kazał jej zostać. Gdyby wyraził takie życzenie, z radością wtuliłaby się w jego ramiona, szepcząc ufnie:

- Tak, nie odejdę. Chcę być z tobą. Kocham cię. Kay odrzuciła szafirowe prześcieradła i wstała.

Z ciężkim westchnieniem podeszła do okna, by spojrzeć na migające światła miasta. Światła zniekształcone teraz przez łzy.

Prawda była bolesna, lecz nadszedł czas, by stawiła jej czoło.

To ona była winna i nikt inny. Do szaleństwa kochała Sullivana Warda, lecz była wówczas zbyt młoda i głupia. Poświęciła uczucie dla kariery w Los Angeles, przez wszystkie lata żalując później swojego wyboru. Tęskniła za tym, co utraciła, wmawiając wciąż sobie, że Sullivan jest również odpowiedzialny za to, co się stało.

Prawda była jednak inna.

Odeszła z własnej woli od najwspanialszego mężczyzny, jakiego kiedykolwiek spotkała, porzucając miłość dla młodzieńczych marzeń o sławie. Kariera znaczyła dla niej więcej niż Sul.

- Dobry Boże - szepnęła Kay - jakąż byłam głupia. - Rozglądała się po pokoju, w którym przeżyła kiedyś najpiękniejsze chwile swego życia. Gdyby mogła cofnąć czas!

Wyczerpana podeszła do dużego, niebieskiego łóża. Zmęczenie przyniosło jej wkrótce upragniony sen.

ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego ranka obudził ją blask wrześniego słońca. Odgarniając z oczu kosmyki włosów, Kay podsunęła wyżej poduszkę i usiadła. Na stojącej przy łóżku szafce zauważyła radio i włączyła je. Uśmiechnęła się, rozpoznając natychmiast stację Q102. Poranny program Sullivana. Lada chwila ucichnie muzyka.

- Słuchaliśmy starego przeboju Glorii Gaynor „I Will Survive”. - Dopiero po chwili Kay zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. - Czyż nie jest to wspaniała piosenka? - Sullivan zwracał się do swoich słuchaczy, a jego głęboki, ciepły głos brzmiał tak melodyjnie. Sullivan był najlepszym prezenterem, jakiego kiedykolwiek słyszała. Nikt na Zachodnim Wybrzeżu nie dorównywał mu talentem. Chciała mu to powiedzieć przy najbliższym spotkaniu, czuła jednak, że Sullivana nie obchodzi już jej opinia.

O dziesiątej Kay ubrana w beżową popelinową garsonkę spiętą w talii kolorowym paskiem otworzyła drzwi studia Q102. Młoda kobieta o kasztanowych włosach podniosła wzrok znad biurka.

- Pani jest zapewne Kay Clark! - wykrzyknęła z entuzjazmem. Zielonooka dziewczyna zerwała się z krzesła. - Nazywam się Sherry Jones. Tak wiele słyszałam o pani. Mam wrażenie, jakby w naszej rozgłośni pojawiła się wielka gwiazda. Czy mogłabym dostać pani autograf? Muszę tylko...

Potrząsając głową, Kay roześmiała się serdecznie.

- Sherry, bardzo mi pochlebiasz, ale z pewnością nie jestem gwiazdą. Czy pan Shults jest zajęty?

- Proszę pójść za mną, pani Clark - powiedziała wyraźnie uszczęśliwiona Sherry. - Jest pani taka ładna. Stwórzycie z Sullivanem wspaniały duet. On jest niezwykle przystojny.

- Tak. - Kay skinęła głową. - Wiem o tym.

Dziewczyna wprowadziła Kay do gabinetu Sama Shultsa.

- Jest już - oznajmiła, zwracając się do przysadzistego mężczyzny, który podnosił się już zza dębowego biurka. - Czy mam przynieść kawę?

- Dzień dobry, Kay - powitał ją Sam Shults. - Kay nie pije kawy, Sherry. Sherry potrząsnęła kasztanowymi lokami. Potem jej oczy rozbliły i dziewczyna klasnęła w dłonie.

- Czy nie zjadłaby pani ze mną lunchu, pani Clark? - spytała z nadzieją w głosie.

- Sherry... - zaczął Sam Shults groźnie - widzę na centralce pięć migających światełek. - Czy nie zechciałabyś wrócić do swego biurka i odebrać kilku telefonów?

- Och, przepraszam, panie Shults. - Podniecona dziewczyna cofnęła się kilka kroków, unosząc dłoń, by pomachać nią Kay. - Zwykle jadamy u Leo, więc...

- Sherry! - Sam Shults wskazał na drzwi. Dziewczyna skuliła ramiona, mrugnęła do Kay i zniknęła za drzwiami.

- A więc - powiedział Sam, kiedy zostali wreszcie sami - usiądź i spróbujemy omówić parę spraw.

- Sam - zaczęła Kay, siadając naprzeciw swego dawnego szefa - czy będziesz ze mną szczery?

- Czemu pytasz, Kay, czy zawsze nie postępowałem uczciwie wobec ciebie? - Sam wydawał się zdziwiony. Odchylając się do tyłu na oparcie fotela, splótł na biurku pulchne palce. - Co cię trapi? Sądziłem, że dogadaliśmy się w sprawie twojej pensji.

Kay machnęła szczupłą dłonią.

- Nie chodzi o pieniądze. Proponowana przez ciebie pensja jest bardzo wysoka. Chodzi mi o Sullivana Warda. - Patrzyła prosto w brązowe oczy Sama Shultsa.

- Kay, co mogę ci powiedzieć? - zaczął wyraźnie zakłopotany mężczyzna.
- Oboje wiemy, że...

- Sullivan nie chce, żebym wracała tutaj, prawda? Sam westchnął, unikając jej wzroku.

- Kay, Sullivan jest profesjonalistą. Na antenie wszystko będzie jak dawniej.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Sam.

- Jestem dyrektorem Q102. Muszę decydować o tym, co najlepsze dla rozgłośni, nie przejmując się specjalnie animozjami wśród pracowników.

Kay uśmiechnęła się smutno.

- Teraz znam już odpowiedź.

Sam Shults także odpowiedział jej uśmiechem.

- Chyba tak. Kochanie, ty i Sullivan musicie jakoś wyjaśnić to między sobą. Dla mnie najważniejsi są słuchacze.

- Och, Sammy, jesteś równie sentymentalny jak kiedyś - zażartowała Kay.

- Taak. - Sam Shults zaczerwienił się lekko - To właśnie wciąż słyszę od Betty.

Po pół godzinie Sam wstał, oznajmiając, że pora już, by Kay spotkała się z Sullivanem.

- Jak sądzisz, czy Daniel był zdenerwowany, kiedy miano wrzucić go do jaskini lwów? - spytała dziewczyna, kierując się ku drzwiom.

Sam uśmiechnął się.

- W tym przypadku mam wrażenie, że lew może być równie przestraszony.

Wysoki, szczupły mężczyzna uśmiechnął się na jej widok, choć spojrzenie ciemnych oczu nadal pozostawało chłodne. Szerokie barki wydawały się nienaturalnie sztywne, pierś pod jasnoniebieskim materiałem falowała, unoszona szybkim oddechem. Krótkie, kręcone włosy pokrywały ręce aż do

łokci. Czarne spodnie układały się miękko na szczupłych biodrach, opinając długie, muskularne nogi.

W wieku trzydziestu sześciu lat Sullivan wydawał się być u szczytu formy i urody. Kay spoglądała na niego z zachwytem i strachem jednocześnie. Surowe rysy twarzy mówiły jej wyraźnie to, czego obawiała się od momentu podjęcia decyzji o powrocie. Sullivan Ward nie chciał jej tutaj.

Spoglądając chłodno w jej stronę, Sullivan ukłonił się wreszcie.

- Pani Clark.

- Panie Ward - odparła Kate równie obojętnym tonem.

Sam Shults potrząsnął głową.

- Zostawiam was samych. Mam dużo roboty.

Ani Kay, ani Sullivan nie odpowiedzieli mu. Nie zauważyli nawet, kiedy wyszedł.

Sullivan czuł, jak mięśnie jego brzucha spinają się w ciasny węzeł, kiedy spoglądał na stojącą przed nim jasnowłosą piękność. Jakże pragnął wyjąć spinki podtrzymujące blond loki, by srebrzyste włosy jak kiedyś rozsypały się po ramionach Kay. W niebieskich oczach błyszczała ta sama co niegdyś niewinność, choć stała przed nim kobieta dwudziestoczteroletnia, dojrzała i niewątpliwie godna pożądania.

- Usiądź, Kay - powiedział, odwracając twarz w stronę okna.

Bez słowa zajęła miejsce w fotelu, nie spuszczać wzroku z ciemnowłosego mężczyzny, który stał teraz zwrócony do niej tyłem.

- Jest kilka spraw, które powinniśmy omówić. - Jego oczy wciąż spoglądały chmurnie, kiedy usiadł przy stole naprzeciw Kay. Sięgnął po papierosa, potem wyjął zapalki z kieszeni spodni. Nigdzie nie widać było złotej zapalniczki, którą ofiarowała mu w ich ostatnie Boże Narodzenie.

- To wspaniale być znowu w Denver, Sul... Sullivanie - zaczęła niepewnie.

- Naprawdę? - Uniósł brwi, a na jego ustach zaigrał drwiący uśmiech. - Uważałbym raczej, że stare Denver to dosyć skromna miejscina jak dla osoby, która spędziła ostatnie pięć lat w Los Angeles.

- Jestem raczej skromną osobą, czyżbyś zapomniał? - odparła, patrząc mu prosto w oczy.

Mężczyzna uniósł nieznacznie ramiona. Potem zaciągnął się głęboko i odchylił wygodnie na oparcie fotela.

- Och, to było tak dawno. Jestem pewien, że wiele się nauczyłaś zarówno w sferze zawodowej, jak i prywatnej. - W jego wzroku błyszczało wyzwanie, kiedy wypowiadał te słowa.

- Zdecydowanie mam nadzieję, że udało mi się nauczyć czegoś, jeśli chodzi o pracę na antenie. Gdyby było inaczej, uznałabym, że minęłam się z powołaniem, a wierzę, że tak nie jest. Ty pierwszy powiedziałeś, że mam talent i że powinnam uczyć się i doskonalić swoje umiejętności. To właśnie robiłam przez ostatnich pięć lat. - Odetchnęła głęboko, a potem mówiła dalej, nie zważając na triumfującą minę siedzącego naprzeciw niej mężczyzny. Najwyraźniej jej zażenowanie sprawiało mu przyjemność. Miała ochotę uderzyć go z całej siły w smagły, gładko wygolony policzek. - Radio jest dla mnie całym światem, panie Ward, podobnie jak dla pana. Ponad wszystko lubię słyszeć swój głos w eterze i chcę właśnie tej pracy poświęcić życie.

- To wszystko? - zapytał z rozbawieniem, zgniatając w popielniczce papierosa. Jej oczy zwęziły się niebezpiecznie. Sullivan potrząsnął głową. - Dobrze, teraz, kiedy wyjaśniłaś już moje wątpliwości, możemy przejść do spraw bardziej konkretnych. - Wstając, wsunął dłoń w kieszenie i okrążył biurko, zatrzymując się dokładnie na wprost Kay. - Od czego zaczniemy? - zastanawiał się, nie spuszczając z niej wzroku.

- Może powinieneś wygłosić mowę. O tym, że ty jesteś dyrektorem programowym tej stacji i odpowiadasz...

- Do licha, Kay. - Pochylił się nad nią niebezpiecznie. - Sam Shults mógł zatrudnić cię z powrotem, lecz to ja jestem twoim szefem. Rozumiesz? - Jego czarne oczy błyszczały gniewnie. Kay ścisnęła mocno oparcie krzesła, żałując teraz, że nie potrafiła utrzymać języka za zębami. - Rzeczywiście wygłoszę swoją mowę i radzę ci słuchać uważnie. Nie jestem już tym samym człowiekiem co niegdyś, nie pozwolę sterować sobą, nawet gdyby miała na to ochotę jasnowłosa piękność o wybujałych ambicjach. Dopóki, panno Clark, pracuje pani w Q102, czekając na swoją kolejną wielką szansę, lepiej niech słucha pani uważnie tego, co mówię. Możesz być wielką gwiazdą, Kay, lecz w tej rozgłośni to ja...

- Sullivanie - przerwała mu odważnie Kay - czy mógłbyś zaczekać chwilę...

- Nie, nie mógłbym. Oboje wiemy, dlaczego jesteś tutaj. Twoja kariera skończyła się, straciłaś kontrakt w radiu Los Angeles i na pewien czas postanowiłaś wrócić do drugiej ligi. - Sullivan pochylił się do przodu. Smagła, przystojna twarz znalazła się blisko niej. Czowała tchnienie ciepłego oddechu. - Jak długo zamierza pani pozostać tym razem, panno Clark? Trzy miesiące? Sześć? Do czasu, kiedy otrzyma pani lepszą ofertę od radia w Chicago? Atlancie? Miami?

Kay spojrzała prosto w jego zimne, czarne oczy. W nagłym przypiływie gniewu uniosła dumnie głowę i uśmiechnęła się spokojnie.

- Dlaczego, Sullivanie - patrzyła bez strachu na twarz o surowych rysach ponad nią - miałabym zrobić coś tak nierozsądnego? - Zmrużyła oczy. - Praca w wymienionych przez ciebie rozgłośniach to nie byłby krok do przodu, nie sądzisz? - Zaśmiała się, potrząsając blond włosami. - Nowy Jork, Sullivanie. Tam jest miejsce dla kogoś z moim talentem. Zgodzisz się ze mną?

Jego oczy błysnęły niebezpiecznie. Wyprostował się.

- Kotku - zaczął z pozorną słodyczą w głosie - być może masz rację. Jedna rzecz jest pewna. Twoje miejsce z pewnością nie jest tutaj.

Kay stanęła na wprost niego, tak blisko, że musiała przechylić głowę, by widzieć jego twarz. Pragnęła przytulić się mocno do niego i wyznać, że jej jedynym marzeniem jest na zawsze pozostać przy jego boku. Wspomniała o Nowym Jorku po to tylko, by zranić jego dumę, tak jak on chciał upokorzyć ją. Spoglądała na jego ostre rysy, zaciśnięte szczęki. Przyjeżdżając tutaj, miała nadzieję, że być może w sercu Sullivana pozostało jeszcze choć trochę sympatii dla niej.

Teraz pozbyła się złudzeń. Sullivan nie uważał się nawet za jej przyjaciela.

- Jestem tu jednak niezależnie od tego, czy ci się to podoba, czy nie. Znów będę wraz z tobą prowadziła poranny program i pojawię się w studiu nagrań jutro o szóstej rano. Jeśli więc masz ochotę omówić ze mną naszą pierwszą audycję, usiądę z powrotem i będziemy mogli porozmawiać jak dwoje inteligentnych profesjonalistów. Jeśli nie, wyjdę.

Sullivan skinął głową.

- Wystąpimy jutro bez próby. To może odświeżyć trochę tę audycję.

- Dobrze - zgodziła się Kay, ruszając do wyjścia. Zatrzymała się dopiero przy drzwiach. - Sullivanie?

- Tak?

- Widzę, że wciąż jest tu twój gimnastyczny drążek. - Uśmiechnęła się, patrząc na stalowy cylinder rozciągający się wzdłuż wschodniej ściany.

- Tak - odparł, a na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. - Niewiele się zmieniło. Moje biuro wygląda niemal tak samo jak wówczas, kiedy odchodziłaś z Q102.

Kay spojrzała na złote płyty i oprawione dyplomy zdobiące ściany. Był pierwszym disc jockeyem w kraju, który pobił rekord w prezentowaniu przebojów radiowych. Na półce stały nagrody, które Sullivan otrzymał za różne osiągnięcia w pracy na antenie. Ponad długą skórzaną kanapą wciąż wisiało szerokie, sięgające sufitu lustro. Zasłonięte plakatem drzwi prowadziły do

prywatnej łazienki. Sullivan żartował często, że to nie zarobki zatrzymują go w rozgłośni Q102. Najważniejszy był dla niego prysznic i drążek do ćwiczeń. Bez tych dwóch rzeczy nigdy nie zgodziłby się tu pracować. Ze ścian zniknęły jedynie jej zdjęcia, których niegdyś nie brakowało w tym pokoju. Teraz nic wskazywało już na to, że wielka namiętność łączyła Kay Clark i sławnego prezentera.

- Do zobaczenia rano - powiedziała.

- Do zobaczenia, Kay.

- Panno Clark, jestem Janelle Davis, sekretarka Sullivana. - Szczupła, ładna brunetka czekała na Kay za drzwiami gabinetu Warda. - Pokażę pani, gdzie jest pani pokój.

- Dziękuję, Janelle. - Intuicja podpowiadała Kay, że ta sympatyczna kobieta o szarych oczach bardzo lubi swojego szefa. Jej głos brzmiał ciepło i melodyjnie, kiedy wypowiadała jego imię. Kay domyślała się, że kobieta ta starannie maskuje zazdrość, jaką musiał wzbudzić w niej powrót dawnej partnerki Sullivana.

Gabinet Kay znajdował się w końcu korytarza. Na biurku leżały przygotowane przez Janelle liczne notatniki, ołówki, długopisy. Nie zabrakło nawet kryształowego wazonu.

Zacierając ręce, Janelle znów zwróciła się do Kay.

- Oznaczyłam przyciski na pani telefonie. Gdyby chciała pani rozmawiać z Sullivanem, proszę wcisnąć mój numer.

- Dziękuję, zrobię tak, Janelle - zapewniła ją Kay. - I proszę, mów do mnie: Kay. Koniecznie musimy wybrać się razem na lunch.

- Oczywiście - zgodziła się młoda kobieta, stojąc już w drzwiach. Ledwie wyszła, odezwał się telefon na biurku Kay.

- Cześć - usłyszała w słuchawce wesoły, młodzieńczy głos. - Tu Sherry... recepcjonistka.

- Cześć, Sherry, co się stało?

- Mam tylko chwilkę. Telefony tutaj naprawdę się urywają. Dzwonię w sprawie lunchu. Nie miałabyś ochoty wybrać się ze mną do Leo?

Kay przygryzła wargę i zawahała się. Dawniej u Leo spotykali się wszyscy. Jadał tam również Sullivan.

- Nie wiem, Sherry.

- Och, Kay. Tak bardzo chciałabym dowiedzieć się wszystkiego o Los Angeles. Nigdy tam nie byłam. Proszę, zgódź się. Ja stawiam.

Kay zaśmiała się.

- Nie ma o tym mowy, Sherry. Z przyjemnością zjem z tobą lunch. Jesteś pewna, że nie wolałabyś wybrać się gdzieś indziej?

Teraz w głosie egzaltowanej młodej osoby słycać było wyraźne rozczarowanie.

- Ale, Kay, tak bardzo chciałabym, żeby wszyscy zobaczyli nas razem. O, rany, to dopiero byłaby frajda.

- A więc Leo. - Kay oczarował bezpretensjonalny wdzięk sekretarki Sama Shultsa. - I to ja płacę.

Restauracja Leo znajdowała się jedynie kilkadziesiąt metrów od budynku rozgłośni, zanim jednak dotarli tam, Sherry zdążyła opowiedzieć Kay wszystkie aktualne plotki.

- Osobiście jestem przekonana, że sekretarka Sullivana, czy już ją widziałaś? jest zupełnie zwariowana na jego punkcie. Oczywiście, on także bardzo ją lubi. Jest taka miła i uczynna. Przynajmniej raz w tygodniu jadają razem kolację, lecz nie sędzę, by łączyło ich coś poza przyjaźnią. - Sherry urwała, by złapać oddech, po czym szybko podjęła przerwany wątek. - To dziwne. Sullivan jest tak przystojny, wszystkie kobiety szaleją za nim, ja też. Wiem, że umawiał się z kilkoma naprawdę ładnymi babkami, lecz nigdy nie trwało to długo. - Sherry zasepiła się na moment. - Nigdy nie dostrzegła we mnie kobiety, traktuje mnie jak młodszą siostrę, sama rozumiesz. Przekomarza się ze mną i w ogóle jest bardzo miły, kiedy nie... Ale ostatnio, sama nie wiem,

wydawał się dosyć rozdrażniony. Zupełnie tego nie rozumiem. Och, i jeszcze ten drażek w jego gabinecie! Wiesz, przez ostatni tydzień prawie non stop wisiał na tej okropnej rurze. Musiałam dzwonić i dzwonić, żeby się z nim połączyć, i wiem dobrze, że nie odbierał telefonów dlatego tylko, że właśnie podciągał się na tym piekielnym urządzeniu. - Dochodziły już prawie do drzwi restauracji. - A przy okazji - Sherry uśmiechnęła się - Jeff Kerns, najlepszy przyjaciel Sullivana, mówi, że...

- Jeff wciąż jest tutaj? - Kay ucieszyła ta wiadomość. Sympatyczny, dowcipny Jeff Kerns pracował w Q102 prawie tak długo jak Sullivan, a więc około dwunastu lat. Ci dwaj mężczyźni dorastali razem, by później przenieść się z Montany do Denver i tu rozpocząć swoje radiowe kariery. - Nie mogę się doczekać spotkania z nim.

- Najprawdopodobniej zastaniemy go tutaj - odparła Sherry, otwierając ciężkie, oszklone drzwi.

Nie było dzisiaj tłoczno. Od razu dostrzegły wiele pustych stolików, także przy barze nie brakowało wolnych miejsc.

- B.A.! - Z końca sali Kay usłyszała znajomy głos. Uśmiechnęła się. Jeff nigdy nie używał jej prawdziwego imienia. Kiedy przed laty Sullivan przedstawiał ją swojemu najlepszemu przyjacielowi, Jeff Kerns długo patrzył na nią z niekłamanym uznaniem. Jego wzrok zatrzymał się na aureoli jasnych włosów okalających jej twarz.

- Wyglądasz jak bożonarodzeniowy anioł. - Uścisnął serdecznie jej dłoń. - Tak właśnie wyglądasz, skarbie, piękny anioł zwiastujący Boże Narodzenie. Będę nazywał cię w skrócie B.A.

- Jeff, cudownie jest znowu cię widzieć. - Kay powitała radośnie obejmującego ją mocno mężczyznę. W następnej chwili ponad jego ramieniem zauważyła chmurną twarz Sullivana Warda i natychmiast pożałowała, że nie przekonała Sherry, by zjadły lunch gdzie indziej. Teraz było już za późno. Ucieszony Jeff kierował je w stronę stolika pracowników Q102.

- Nic to nie zmienia pomiędzy nami, Sherry, kochanie, musisz jednak zrozumieć, że przez długie lata kochałem się w B.A. Będziesz musiała nauczyć się, że nie zawsze możemy zatrzymać tylko dla siebie tych, których darzymy uczuciem. - W wesołych oczach Jeffa błyszczały przekorne iskierki.

Siedzący przy stoliku mężczyźni wstali, by powitać Kay i Sherry. Jeff nie zwracał uwagi na ponurą minę Sullivana.

- Możesz zniknąć, Ward. B.A. będzie siedziała koło mnie - oznajmił, podsuwając Kay krzesło. - Sherry, mogłabyś wcisnąć się pomiędzy Sullivana i Dallas?

Kiedy wszyscy zajęli miejsca, Jeff spojrzał w stronę Sullivana.

- To dobra okazja, by B.A. poznała zespół.

- Czy mógłbyś dokonać prezentacji, Jeffrey? - odparł Sullivan, nie podnosząc wzroku.

- Och, dzięki za ten zaszczyt, Nasz Wielki. - Jeff złożył zabawnie ręce, pochylając głowę przed Sullivanem. Wszyscy przy stoliku roześmiali się i nawet usta Sullivana wykrzywił delikatny grymas.

- Tak więc, B.A., jedyna miłości mojego życia, ten czerstwy facet na końcu stołu to Dallas Knight. Dallas jest na antenie od dziesiątej do drugiej w nocy.

Mężczyzna uklonił się.

- Witaj na pokładzie, Kay. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zwracaj się od razu do mnie.

- Dziękuję, Dallasie. - Kay spodobała się pogodna twarz mężczyzny.

- Naprzeciw Dallasa - ciągnął Jeff - siedzi Mroczny Dale, naprawdę Dale Kitrell. Jest na antenie od drugiej w nocy do szóstej rano, kiedy wraz z Sullivanem przychodzie mu na ratunek. - Jeff nachylił się w stronę Kay i mówił teraz scenicznym szeptem: - Dale to dziwak, więc lepiej trzymaj się od niego z daleka. Zbyt wiele czasu każdej nocy spędza samotnie. Obawiam się, że nie pozostaje to bez wpływu na jego osobowość. Rozmawia z drzewami.

Wyraźnie rozbawiony, Dale puścił oko do Kay.

- Jeff jest o mnie zazdrosny, Kay, co uważam zresztą za zupełnie zrozumiałe. Chodzi nie tylko o talent, ale także o moje gęste, zdrowe włosy. Sama widzisz, że Jeff gwałtownie łysieje. - Dale przyglądał ręką niesforne, czerwonawe kędziory. Kiedy uśmiechnął się, wszystkie piegi wokół zielonych oczu zlały się w jedną zabawną plamę.

- Miło cię poznać, Dale - odparła życzliwie Kay. - Będę słuchała rano twojego programu. Nie dziwię się też, że Jeff zazdrości ci fryzury.

Jeff zmarszczył groźnie brwi.

- Zazdrość? Ciekawe, który z nas doświadcza tego uczucia. Łysi mężczyźni mają, zdaje się, opinię zdecydowanie bardziej męskich... Do licha, nie mogę się doczekać, żeby wypadły mi wszystkie. Moja słodka żonka twierdzi, że z każdym rokiem staję się bardziej seksowny. - Jeff spojrzał z wyrzutem na Kay, zanim wyjął z kieszeni marynarską czapeczkę, którą naciągnął głęboko na uszy.

- Taak, lecz to moja żonka jest znów w ciąży - przypomniał Jeffowi Dale.

Nie zwracając uwagi na słowa Dale'a, Jeff przedstawiał Kay następnego członka zespołu.

- Ten młodzieniec, który wygląda, jakby dopiero co wyjęto go z wyżymaczki, to As Pik, pracuje w południe. Naprawdę nazywa się Bill Smith, czy jakoś równie nieciekawie.

Oprócz Sullivana i Jeffa, żaden z mężczyzn nie pracował w rozgłośni przed pięciu laty. Wszyscy wydawali się sympatyczni i starali się okazać Kay jak największą życzliwość. Jedynie Sullivan milczał. Kiedy spoglądał w stronę dziewczyny, jego czarne brwi marszczyły się posepnie.

- Sullivanie - zaświergotała Sherry - to naprawdę cudownie, że znów będziecie pracowali razem z Kay, nie sądzisz? Tworzycie wspaniałą parę. Kay jest tak piękna i sympatyczna. Jak się nazywa ta potrawa, którą jesz? Wygląda

niezwykle apetycznie. - Dziewczyna patrzyła z zainteresowaniem na jego nietknięty talerz.

- Żeberka - odparł krótko, spoglądając niecierpliwie na zegarek. - Spieszę się - oznajmił, wstając nagle.

Bez dalszych wyjaśnień uklonił się i ruszył szybko do drzwi. Kay najchętniej poszłaby w jego ślady. Bez apetytu przesuwiała na talerzu zamówioną sałatkę, starając się żartować i odpowiadać dowcipnie na pytania swoich towarzyszy. Z ulgą wstała od stołu po skończonym lunchu. W rozgłośni udała się prosto do swojego małego gabinetu, gdzie powitał ją dzwonek telefonu.

- Kay, tutaj Sam. Na dole czeka na ciebie porsche. - Kay uśmiechnęła się. Porsche należał do warunków kontraktu. Salony samochodowe chętnie dostarczały rozgłośni wozy w zamian za czas antenowy. - Skarbie - ciągnął Sam - porsche ci odpowiada, prawda?

- Oczywiście, Sammy - odparła radośnie. - Jestem zachwycona.

- To dobrze. Obawiałem się... Cóż, Sullivan jeździ mercedesem, nie chciałbym...

- Sam, uważam, że mercedes to rzeczywiście wóz odpowiedni dla Sullivana. Ja jestem zadowolona z porsche'a. Wierz mi.

- Jesteś słodka, zawsze byłaś. - W głosie Sama brzmiała ulga. - Samochód czeka na ciebie na parkingu. Kluczyki są u mnie. Kiedy będziesz chciała wyjść, wstąp po nie.

- Prawdę mówiąc - zaczęła Kay - powinnam rozejrzeć się za mieszkaniem, jeśli więc nie masz nic przeciwko temu, chętnie już teraz pojechałabym do miasta.

- Ależ jedź, skarbie. Oczywiście.

- Sammy, czy Sullivan wciąż mieszka przy Park Lane Towers koło parku Waszyngtona?

- Tak. Dlaczego nie zapytasz go, czy nie mają tam czegoś wolnego?

- Hhm - mruknęła Kay, wiedząc już, że poszukiwania rozpocznie w dokładnie przeciwnym końcu Denver.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dokładnie o czwartej trzydzięci następnego ranka obudził Kay sympatyczny głos Dale'a Kitrella. W pokoju panował całkowity mrok.

- Jeśli słucha mnie ktokolwiek, ta piosenka jest właśnie dla ciebie „Przytul mnie” zespołu Fleetwood Mac. Chciałbym, żeby mnie ktoś przytulił. - Kay uśmiechnęła się na wspomnienie szczupłej sylwetki rudowłosego mężczyzny. Przeciągając się leniwie, wstała wreszcie i przeszła do łazienki. Wciąż ziewając, stanęła pod prysznicem, rozkoszując się gorącym strumieniem wody.

Wraz ze świadomością powrócił do niej strach. Tego ranka po raz pierwszy miała znów wystąpić na antenie wraz z Sullivanem. Jak będą się zachowywać? Czy powróci czar sprzed lat? Czy, jak kiedyś, będą potrafili wyczytać w swoich oczach, co druga osoba chce powiedzieć? Kay zadrżała. Łączyło ich coś iście magicznego, lecz niezwykle naturalnego zarazem, coś, co sprawiało, że ich audycje cieszyły się rekordową popularnością.

Kay uśmiechnęła się, wspominając tamte dni. Wiele razy siedzieli w studiu nagrań, przekomarzając się, dotykając, nawet całując. W ten sposób próbowali nawzajem wyprowadzić siebie z równowagi. Ile radości dawały im wówczas te żarty, jak wiele przeżyli razem chwil prawdziwego szczęścia!

Kay obróciła się, pochylając twarz ku strumieniowi wody. Potem zakręciła kran i wytarła się miękkim, niebieskim ręcznikiem. Boso podreptała z powrotem do sypialni. Wyjęła z szuflady parę rajstop, powąchała stojące na szafce róże, a potem przysiadła na wciąż jeszcze nie posłanym łóżku. Zastanawiała się, co robi w tej chwili Sullivan. Czy on również wyszedł właśnie spod prysznica w swoim mieszkaniu po przeciwnej stronie miasta? Czy na jego

ciele także błyszczą kropelki wody? Czy pachnie mydłem i wodą kolońską? Czy gęstwina czarnych włosów na jego torsie jest teraz miękka i wilgotna?

Zadrzała i włożyła szybko rajstopy. Potem pobiegła do szafki, by zakryć koronką stanika nabrzmiałe piersi, których sutki nagle stwardniały.

Kay dotarła do studia Q102 pół godziny przed rozpoczęciem programu. Wyglądała bardzo atrakcyjnie w bawełnianej sukience o niebiesko-złotym wzorze. Korzystając z własnego klucza, otworzyła drzwi pogrążonej w półmroku recepcji. W całej rozgłośni panowała jeszcze nocna cisza.

Stapała bezgłośnie po wyłożonym wykładziną holu. Nagle poczuła dziwne mrowienie karku. Ktoś szedł za nią. Kay obróciła się gwałtownie, wpadając z impetem na Sullivana Warda.

Krzyknęła zaskoczona, kiedy chwycił ją silne ramiona. Instynktownie wciągnęła w nozdrza znajomy, męski zapach jego skóry. Sul. Jej Sul. Zdecydowanym ruchem Sullivan odsunął ją od siebie. W jego twarzy malowało się zniecierpliwienie.

- Nie... zrobiłam ci krzywdy, prawda? - spytała zmieszana.

Usta Sullivana Warda wygięły się w drwiącym uśmiechu.

- Ależ skądże! - odparł obojętnie.

Potem odwrócił się i ruszył przed siebie. Kay stała w miejscu niczym sparaliżowana, obserwując odchodzącego mężczyznę. Jego spodnie układały się miękko na szczupłych biodrach. Potem jej wzrok powędrował ku szerokim, kanciasto zarysowanym barkom. Łopatki wydawały się uniesione lekko, jakby Sullivan wzruszał ramionami, zastanawiając się nad czymś.

Kay przygryzła wargę. To nie mogło się udać. Niezadowolony Sullivan sprawi, że ich pierwszy show zamieni się w żalospną farsę. Czowała to. Nie mogli pracować razem. Nigdy nie powinna była tu wracać.

Dwie minuty przed szóstą Kay, podobnie jak i Sullivan w drugim końcu korytarza, wyszła ze swego maleńkiego gabinetu, kierując się w stronę studia

nagrań. Sullivan pchnął ciężkie drzwi, skinieniem głowy nakazując Kay, by weszła do środka.

Również bez słowa Kay kiwnęła głową, wchodząc do pokoju, gdzie czekał na nich blady i zmęczony Dale Kitrell.

- A teraz żegna już was Mroczny Dale. Słuchajcie, kiedy znów odezwę się na antenie, by pomóc wam spędzić kolejną bezsenną noc. - Mężczyzna nastawił ostatnią płytę, a potem wstał, by ustąpić miejsca swoim zmiennikom.

- Cześć - powitał ich głośnym ziewnięciem, przeciągając się jednocześnie.

- Dzień dobry, Dale - pozdrowiła kolegę Kay, gdy Sullivan mocno potrząsał jego dłoń. Kiedy wyszedł, Sullivan postawił drugie krzesło obok miejsca zwolnionego przed chwilą przez Dale'a i spojrzał na Kay.

- Sądzisz, że poradzisz sobie z zapisywaniem czasu, jeśli ja zajmę się innymi rzeczami?

Kay minęła powoli postawione przez Sullivana krzesło i zajęła miejsce dokładnie na wprost konsoly. Odwracając się swobodnie, spojrzała prosto w oczy swojego partnera i odparła ze spokojem:

- Poradzę sobie nie tylko z tym, Sullivanie. Potrafię także obsługiwać konsolę. Będę zapowiadać płyty, nastawiać odpowiednie taśmy i puszczać reklamy. - Uśmiechnęła się słodko i dodała: - Siedź po prostu obok i staraj się oczarować słuchaczy. Bez problemu mogę zająć się resztą - zakończyła, szerokim gestem wskazując otaczające ich półki płyt, taśm oraz cały zgromadzony wokół najnowocześniejszy sprzęt elektroniczny.

- Dobrze - odparł krótko Sullivan, kładąc przed nią kartki z tabelami. Potem rozparł się wygodnie na krześle obok, krzyżując przed sobą ramiona. Nie zwracając na niego uwagi, Kay pokręciła karuzelą z taśmami, rozszyfrowując gorączkowo kod kolorowych kropek oznaczający piosenki A, B i C. - Gdzie jest lista nagrań? - zwróciła się do Sullivana.

- Po co, Kay? - zdziwił się - Tu jest Q102. Nie odtwarzamy przebojów, lecz kreujemy je. Czyżbyś zapomniała?

- Tak, wiem, ale co mam...

- Zostało ci jeszcze trzydzieści sekund. Lepiej wybierz coś. - Sullivan powoli pochylił się do przodu, przyciągając bliżej mikrofon. Z bijącym sercem Kay chwyciła oznaczoną niebieskimi kropkami taśmę i szybko wsunęła ją do kasetki magnetofonu. W tej samej chwili usłyszała głęboki, seksowny głos swojego partnera.

- Dzień dobry, śpiochy. Tu wasz stary kumpel Sullivan Ward. Dzień, na który wszyscy czekaliśmy, wreszcie nadszedł. O, tak, wiem, że każdy dzień w naszym pięknym stanie Kolorado jest wyjątkowy i niepowtarzalny, lecz dzisiejszy ranek ma w sobie szczególny czar.

Sullivan patrzył teraz na Kay.

- Jestem pewien, że wielu z was pamięta piękną i utalentowaną Kay Clark. W dawnych, dobrych czasach Kay prowadziła wraz ze mną poranną audycję w Q102. Teraz wróciła, szczęśliwa, że znów może być z nami w Mile High City. Wszystko jest jak dawniej. Z myślą o tych, którzy przeprowadzili się do Denver w ciągu ostatnich pięciu lat, spróbuję opisać moją uroczą towarzyszkę. Ma ona około metr siedemdziesiąt wzrostu i waży... powiedzmy, pięćdziesiąt kilo, a każdy dekaqram znajduje się w jak najwłaściwszym miejscu.

- Kiedy mówił, jego wzrok prześlizgiwał się po figurze Kay.

- Po jej ramionach rozsypują się lśniące blond włosy. Nietrudno jest zatracić się w szmaragdowoniebieskich oczach mojej partnerki. Lekko zadarty nos i usta... cóż, mogę wam powiedzieć... są miękkie i słodkie i... To po prostu Kay Clark. Jest olśniewająca, utalentowana i moja. Czy powiedziałem: moja? Ona jest wasza, przyjaciele. Cieszy się, że wróciła do was, do naszego cudownego Kolorado, do tej perły Gór Skalistych, Denver, które jest naszym i Kay domem. Kay, powitaj swoich oddanych słuchaczy.

Spłoniona pod jego badawczym wzrokiem, Kay odkaszlnęła nerwowo i pochyliła się bliżej mikrofonu. Kiedy zaczęła mówić, jej głos brzmiał pewnie i spokojnie.

- Dziękuję, Sullivanie. Witaj, Kolorado. Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo cieszę się, będąc znów w moim ukochanym Denver, tutaj, w programie porannym Q102 z mężczyzną, który nauczył mnie wszystkiego.

Kay dojrzała przelotny błysk w zmrużonych oczach Sullivana i szybko poprawiła się.

- To znaczy wszystkiego o pracy w radiu. - Jej zaciśnięta na mikrofonie dłoń drżała lekko. - Wkrótce już mam nadzieję znów spotkać moich dawnych przyjaciół, gdyż planujemy z Sullivanem często pokazywać się w mieście. Więc słuchajcie nas i zadzwońcie czasem, byśmy wiedzieli, że wciąż tam jesteście. A teraz co powiecie na chwilę muzyki? - Kay nacisnęła guzik i z głośników popłynęła melodia piosenki Lindy Ronstadt.

Kay zapisała na kartce godzinę, a potem odwróciła się po taśmę pierwszej zaplanowanej w programie reklamy. Sullivan, znów odchylony wygodnie na oparciu krzesła, przyglądał się jej z uznaniem. Potem sięgnęła po płytę, sprawnie wyjęła ją z koperty i nastawiła igłę adapteru.

Dopiero wtedy Sullivan pochylił się, patrząc prosto w niebieskie oczy dziewczyny i nakrywając ręką jej lekko drżącą dłoń. Przez chwilę czuła emanujące od niego siłę i ciepło.

- Pomogę ci - powiedział.

- Dz... dziękuję - zająknęła się, kiedy Sullivan delikatnie uścisnął jej rękę. Jego głos brzmiał szczerze i troskliwie.

- Zrobimy to razem, skarbie. - Sięgnął na półkę, wyjmując stamtąd kilka oznaczonych kolorowym kodem taśm. - Te należą, moim zdaniem, do najlepszych. Będą doskonałe do pierwszej części programu.

Pół godziny później w studiu rozdzwoniły się telefony. Posypały się pochwały. Słuchacze zachwycali się dowcipnym duetem, swobodną wymianą zdań pomiędzy mężczyzną i kobietą, którzy rozmawiali ze sobą, żartując i w lot niemalże odgadując swoje myśli.

Jedno z nich zaczynało zdanie, drugie kończyło. Raz jeszcze powstała między nimi nić magicznego porozumienia, zdania, które wypowiadali w cudownej harmonii, zdawały się nabierać nowego, specjalnego znaczenia. Toczyli na antenie pojedynek słowny, który stymulował ich energię i intelekt.

Liczyła się nie tylko rozmowa, jaką prowadzili w maleńkim studiu. Wciąż odczuwali wobec siebie pociąg fizyczny, który w niewytłumaczalny sposób przekodowany na radiowe fale, oczarowywał ludzi słuchających programu. Ich słuchacze mieli wrażenie, że uczestniczą w czymś ważnym i niecodziennym. Podobnie jak przed laty wszyscy byli zachwyceni tą dowcipną, sympatyczną parą.

- Jesteś dobra, Kay - przyznał Sullivan, kiedy po programie dziewczyna spojrzała na niego, oczekując jakiegoś komentarza.

- Muszę być dobra - powiedziała cicho, instynktownie kładąc dłoń na jego ramieniu. - Ty nauczyłeś mnie wszystkiego, co umiem.

Czuła pod palcami napięcie twardych mięśni.

- Czy masz jakieś szczególne plany na sobotnie przedpołudnie? - Jej serce zabiło gwałtownie, kiedy usłyszała to pytanie zadane chłodnym, obojętnym tonem.

Nie pracowali w soboty. Bezwiednie Kay ścisnęła delikatnie jego ramię.

- Dlaczego? Nie, Sullivanie - powiedziała jednym tchem - nie mam żadnych planów.

- To dobrze - odparł sucho, zdejmując z ramienia jej rękę. - W sobotę o dziesiątej jest mecz pomiędzy Q102 i kanałem dziesiątym telewizji, z którego dochód ma być przeznaczony na cele charytatywne. To dobry pomysł, żebyś wzięła w nim udział.

Kay spoglądała na niego zawiedziona.

- Ja... tak, oczywiście. Z przyjemnością zagram - zgodziła się.

- Wstąp do mnie po koszulkę. Białe szorty z pewnością znajdziesz w swojej garderobie - powiedział, ruszając w stronę drzwi.

- Tak, ale dlaczego nie mogę włożyć dzinsów? Sullivan zatrzymał się przy drzwiach.

- To jest show, kotku. Ludzie słuchają twojego głosu i przychodzą obejrzeć ciebie. Chcą widzieć cię w obcisłej koszulce i szortach odsłaniających długie, opalone nogi.

- Cóż... - Kay podażyła za nim, a w jej słowach pobrzmiwało oburzenie - a może ja nie chcę pokazywać nóg i...

- Daj spokój, Kay - odparł zimno Sullivan. - Na paradzie w Los Angeles występowałaś w skąpym bikini i widać było niemal... - Sullivan urwał, zatrząskując za sobą drzwi.

Kay, sploniona, z zaciśniętymi w pięści dłońmi, ruszyła szybko w stronę swojego pokoju. Dopiero kiedy ochłonęła, zaczęła zastanawiać się nad słowami Sullivana: skąd wiedział o paradzie, w której brała udział przed czterema laty, i dlaczego pamiętał o niej tak długo?

Stojąc na słonecznym balkonie swojego nowego mieszkania przy Cheeseman Park, Kay popijała świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy.

Był sobotni ranek. Tydzień minął szybko, a praca z Sullivanem dawała jej równie wiele radości i satysfakcji jak przed laty. Poza studiem jednak wszystko układało się zupełnie inaczej.

Sullivan rzadko z nią rozmawiał, zaś jego rozdrażnienie dawało się we znaki całemu zespołowi. Sherry twierdziła, że nigdy nie widziała Sullivana w równie złym humorze. Anielsko cierpliwa Janelle Davis wybiegła kiedyś z jego gabinetu bliska łez i nawet Sam Shults odwiedził któregoś dnia Kay, by porozmawiać z nią o dziwnych nastrojach jej radiowego partnera.

Jedynie Jeff Kerns nie przejmował się wybuchami złości czy też nieoczekiwanym milczeniem ze strony swojego przyjaciela. Jeff wciąż często odwiedzał Sullivana, choć teraz nierzadko słychać było krzyki poprzez zamknięte drzwi. Jeff wychodził potem z uśmiechem, jakby nie stało się nic nadzwyczajnego.

Kay doskonale zdawała sobie sprawę, że zły humor Sullivana związany jest z jej powrotem. Niezrozumiała wydawała się jednak gwałtowność okazywanych przez niego emocji. Potrafiłaby zrozumieć zwykłą niechęć. Była młoda i bardzo ambitna. Kiedy zaproponowano jej pracę w jednej z najbardziej znanych stacji Los Angeles, niezwykle jej to pochlebiło. Przyjęła tę ofertę, zostawiając Q102, rozgłośnie, której zawdzięczała popularność, i Sullivana Warda, którego kochała.

Wielokrotnie pytała Sullivana, czy postępuje słusznie, przyjmując zaoferowaną jej pracę. Za każdym razem miała nadzieję, że ukochany poprosi ją, by została w Denver. Modliła się, by Sullivan wyznał jej miłość, by powiedział, że nie potrafi bez niej żyć. Nigdy jednak tego nie zrobił. Odpowiadał zawsze, że to wielka szansa i że sama musi podjąć decyzję.

Nawet tej ostatniej nocy Sullivan nie powiedział, że kocha ją i chce, by została. Nawet wówczas, kiedy leżała ufnie w jego ramionach.

Kay potrząsnęła głową, wstała i weszła do mieszkania, by przebrać się na mecz. Godzinę później pchnęła ciężkie szklane drzwi rozgłośni Q102, gdzie inni pracownicy radia tłoczyli się już w holu, żartując, pijąc kawę i zajadając pączki. Przy jej boku natychmiast pojawiła się Sherry Jones.

- Kay, wyglądasz wspaniale - zaszczębiotała radośnie. - Chciałabym być tak szczupła jak ty. Przez ostatnie dwa dni nie jadłam kolacji w nadziei, że stracę parę kilo, by wyglądać jakoś w tych szortach, lecz wszystko na nic. - Sherry wyduła zabawnie usta, nawijając na palec kosmyk kasztanowych włosów.

- Wyglądasz fantastycznie, Sherry - zapewniła ją Kay, rozglądając się, by dojrzeć gdzieś Sullivana.

Stał w drugim końcu korytarza, rozmawiając z Jeffem i innymi prezenterami. Miał na sobie podobny jak Kay strój, jedynie kolory były odwrócone. Biel koszulki kontrastowała ostro z czerwienią szortów.

Żaden mężczyzna nigdy nie wydawał się jej równie seksowny. Sprowokowany jakimś żartem Jeffa, Sullivan roześmiał się głośno i swobodnie. Przesunął na tył głowy białą baseballową czapkę i czarne kosmyki opadły na wysoko sklepione czoło. Pod obcisłą koszulką wyraźnie rysowały się silne mięśnie.

Kay nie słuchała Sherry. Dłoń Sullivana bezwiednie powędrowała pod koszulkę, by pogłodzić twarde podbrzusze. Kay nie potrafiła oderwać wzroku od tego zmysłowego gestu. Była oczarowana.

Jakby wyczuwając jej spojrzenie, Sullivan zwrócił wzrok na Kay. W chwili gdy spotkały się ich oczy, uśmiech zamarł na wargach mężczyzny. Smukła dłoń opadła wzdłuż ciała. Kay uśmiechnęła się niepewnie. Sullivan odpowiedział jej obojętnym, ostrożnym grymasem ust.

- A więc ruszajmy. - Głośne oklaski powitały pojawienie się w holu Sama Shultsa. Jego zaokrągloną sylwetkę zdobił dzisiaj strój szofera.

- Czy to nie cudowne? - Sherry nachyliła się bliżej do Kay. - Pan Shults będzie prowadził limuzynę, którą pojedziemy na stadion.

- Żartujesz.

- Ależ skąd. To jedna z atrakcji dzisiejszej imprezy. Sullivan i pan Shults doszli do wniosku, że stworzy to niezwykle korzystny obraz naszej rozgłośni, jeśli główny dyrektor przyjmie na siebie rolę kierowcy.

Kay uśmiechnęła się, zwracając spojrzenie na Sama Shultsa. Poczciwy, stary Sam. Dla Q102 gotów był do wszelkich poświęceń.

Dwie czarne limuzyny czekały na nich przed budynkiem radia. Kay nie potrafiłaby powiedzieć, jak to się stało, że przypadło jej miejsce przy boku nachmurzonego Sullivana. W miarę jak w samochodzie pojawiali się nowi pasażerowie, Kay zmuszona była przesuwać się bliżej mężczyzny, który zdecydowanie uważał jej towarzystwo za niepożądane.

- Hej - zawołał Jeff. - Chodź tutaj, Daliasie. Sherry może usiąść koło mnie. - Zwrócił spojrzenie na Kay. - B.A., wdrap się Sullivanowi na kolana, dobrze? Jeszcze sporo osób chce wsiąść.

- Ale ja... - próbowała zaprotestować Kay, kiedy silne ramiona Jeffa przeniosły ją na kolana zaskoczonego Sullivana. Kay zadrżała, kiedy jej towarzysz zwrócił ku niej zagniewaną twarz.

- Przepraszam, naprawdę nie chciałam...

- To nie ma znaczenia - mruknął bez przekonania Sullivan, znów odwracając się w stronę okna.

Samochód mknął szybko po autostradzie. Kate siedziała sztywno, starając się nie dotykać Sullivana bardziej, niż było to absolutnie konieczne. Dlatego już na pierwszym zakręcie wylądowała przerażona na twardym torsie swojego partnera.

Natychmiast zaczęła przeproszać Sullivana, za wszelką cenę usiłując znów usiąść prosto. Opierając dłoń na jego piersi, odepchnęła się mocno, wciąż powtarzając speszona:

- Sullivanie, przepraszam, nie miałam zamiaru...

Sullivan westchnął, uśmiechnął się i szarmanckim gestem pociągnął ją z powrotem ku sobie.

- W porządku, usiądź wygodnie, jeszcze długa droga przed nami. Obejmij mnie i trzymaj się mocno.

Kay posłuchała go z wdzięcznością. Ostrożnie objęła go za szyję. Ku jej zdziwieniu silne ramiona Sullivana otoczyły ją w talii.

To był raj i... piekło zarazem.

Wkrótce dotarli do stadionu. Kay i Sullivan wbiegli na boisko witani oklaskami widowni, o jakiej żadne z nich nawet nie marzyło. Pozdrawiając publiczność, przesyłając całusy, uśmiechnięta para szła na swoje stanowisko, rozdając po drodze liczne autografy.

Gwizdek sędziego oznajmił początek meczu. Rzuconą przez Kay piłkę pochwyliły silne ręce Sullivana. Kay, niepewna, co ma teraz zrobić, pobiegła w stronę przeciwników, spoglądając do tyłu na swojego partnera.

Sullivan rzucił piłkę do Jeffa. Skórzana kula trafiła do adresata podania. Chwyciwszy piłkę, Jeff pobiegł jeszcze pięć metrów, zanim dogonił go zawodnik drużyny telewizji.

Kay była brawo uszczęśliwiona, gotowa już do kolejnego podania. Ponad nią pochylał się Sullivan tak blisko, że czuła bijące od niego ciepło. Zadrżała, przygryzając wargę; była zdecydowana skoncentrować całą uwagę na grze.

Sullivan z równą determinacją starał się skoncentrować na meczu. Było to jednak niezwykle trudne, kiedy tuż przed sobą widział wycelowany w niebo zgrabny tyłeczek w opiętych, jasnych szortach. Otaczał rękoma szczupłe, opalone uda ogarnięte pragnieniem, by dotykać i pieścić tę cudownie jedwabistą skórę. Kiedy pochylał się ponad zgiętym ciałem dziewczyny, z trudem powstrzymywał się, by nie pocałować delikatnego karku przysypanego kosmykami srebrzystych włosów. Gotów był zrobić to, nie zważając na ciekawe spojrzenia widowni.

W miarę upływu czasu Sullivan grał coraz gorzej. Nie trafiał do celu i nie chwytął podań. Drużyna telewizji wygrywała siedemnastoma punktami do zera.

Tylko Sullivan i być może Kay wiedzieli, w czym tkwi przyczyna klęski. Zanim dobiegła końca pierwsza część meczu, Sullivan bezceremonialnie polecił Kay, by przeszła na miejsce Rity z księgowości. Potem znów stał się groźnym, niezwykle skutecznym zawodnikiem.

Kay bardzo spodobała się jej nowa pozycja i kiedy w dalszej części meczu Sullivan rzucił idealnie wycelowaną piłkę prosto w jej wyciągnięte wysoko ręce, natychmiast ruszyła do przodu. Już po kilku metrach dogonił ją muskularny blondyn z kanału dziesiątego telewizji.

Złapał jej koszulkę, zaś Kay, zapominając na moment, że to tylko zabawa, spróbowała wyrwać się z jego uchwytu. Dokładnie w chwili, kiedy padała na

trawę, usłyszała trzask materiału. Przystojny Dave Kelso wylądował prosto na niej. Kay wybuchnęła śmiechem, któremu zawtórował jej przeciwnik. Leżała na plecach, wciąż ściskając w ramionach piłkę, zaś na niej spoczywał barczysty Dave Kelso, do połowy zakrywając torsem jej pierś.

Publiczność nagrodziła ten wyczyn głośnym aplauzem. Zawodnicy obydwu drużyn gwizdali, oklaskując niefortunnych graczy. Kay i Dave, leżąc na miękkiej murawie, próbowali się podnieść, kiedy ponad nimi wyrosła barczysta sylwetka Sullivana.

Gwałtownym szarpnięciem pociągnął Kay do góry, potem ścisnął władczo jej ramię i zwrócił ku Dave'owi zagniewaną twarz.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz, Kelso?

Wciąż uśmiechnięty, Dave wstał powoli, otrzepując z ubrania trawę i liście.

- Po co ta złość, Ward? Nie zrobiłem jej nic złego, prawda, kochanie?

- Naprawdę, Sullivanie, to była moja wina. Powinam była... ja...

Sullivan nie zwracał uwagi na słowa Kay.

- Kelso, ta dziewczyna waży pięćdziesiąt kilo, ty sto. Upadnij na nią raz jeszcze, a będziesz miał do czynienia ze mną. Zrozumiałeś?

- To znaczy?

- Czytaj w moich myślach, Kelso. Dotknij jej raz jeszcze, a wtedy zajmę się tobą. Ja również ważę sto kilo.

Wysoki blondyn wciąż nie tracił dobrego humoru.

- A gdybym zaprosił ją na kolację, Ward? - Spojrzał na Kay. - Właśnie miałem zamiar to zaproponować, kiedy nam przeszkodziłeś.

Sullivan puścił rękę Kay.

- Rób, co chcesz, Kelso. - Sullivan szedł już w swoją stronę. - Ale na tym boisku trzymaj się od niej z daleka!

Kay poprawiła porwaną koszulkę, po czym zwróciła się z przeprosinami do sympatycznego blondyna, który ze zdziwieniem patrzył na odchodzącego Sullivana.

- Przepraszam, panie Kelso. Sullivan zwykle nie zachowuje się tak grubiańsko.

- Kay. - Mężczyzna pogładził uspokajająco jej dłoń. - Znam Sullivana od trzech lat. Nigdy nie był wcieleniem łagodności, ale też po raz pierwszy miałem okazję zobaczyć go tak rozwścieczonym. Może to oznaczać tylko jedno.

- Nie rozumiem. - Kay zwróciła ku niemu twarz.

- Nie rozumiesz, Kay? - Mężczyzna zachichotał. - A ja sądziłem, że twoja inteligencja dorównuje urodzie.

Wracając ze zwycięskiego dla Q102 meczu, Kay zastanawiała się nad porannymi wydarzeniami. Tym razem Sullivan jechał w drugiej limuzynie i Kay miała wrażenie, że czekał specjalnie do ostatniej chwili, by nie wsiąść do tego co ona samochodu.

Ustalono przed grą, że przegrana drużyna stawia przeciwnikom pizzę i piwo w restauracji u Leo. Roześmiani gracze wysypywali się teraz z samochodów, zdążając w stronę ulubionej knajpki. Kay spoglądała za odchodzącymi, obiecując, że dołączy do nich niedługo. W rzeczywistości nie miała zamiaru wraz z innymi świętować zwycięstwa. Pragnęła przede wszystkim rozważyć, dlaczego Sullivan zareagował tak gwałtownie, gdy wraz z Kelso upadła na ziemię.

Kay weszła na teren opustoszałej tego dnia rozgłośni. Była wdzięczna losowi za ciszę i chwilę samotności. Westchnęła, ruszając korytarzem.

Zatrzymał ją głośny hałas.

Dźwięk dochodził z pokoju Sullivana. Kay zawróciła szybko, by sprawdzić, co się dzieje. Najwyraźniej sądząc, że jest sam, Sullivan cisnął przed siebie następnym butem, który wylądował na ścianie z podobnym łoskotem jak

poprzedni. Zwrócony tyłem do drzwi, zdjął teraz zabrudzoną koszulkę i rzucił ją na podłogę.

Kay patrzyła w milczeniu na jego szerokie, nagie plecy błyszczące od potu. Czując jej spojrzenie, mężczyzna odwrócił się powoli. Kay słyszała łomotanie własnego serca. Sullivan wyglądał niczym drapieżnik osaczający bezbronną ofiarę.

Jego oczy płonęły ogniem, który zarazem przerażał Kay i fascynował. Stała bez ruchu, czekając, by przyciągnął ją ku sobie. Pragnęła, by jego usta miażdżyły jej wargi w zmysłowym pocałunku.

Sullivan zatrzymał się tuż przed nią. Oddychał ciężko, lecz udało mu się odzyskać panowanie nad sobą. Przez chwilę stali twarzą w twarz. Potem Sullivan obrócił się gwałtownie.

- Dlaczego nie jesteś u Leo? - Jego głos wydawał się bezbarwny i zmęczony.

- Dlaczego ciebie tam nie ma? - odparła cicho Kay.

Jego szerokie ramiona uniosły się lekko.

- Kay - zaczął błagalnie - zostaw mnie. Proszę... proszę, zostaw mnie w spokoju.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Z każdym dniem więcej osób słuchało audycji Sullivana i Kay. Przez cztery godziny żartowali i rozmawiali ze sobą, jakby byli jedynymi ludźmi na świecie. Zapominali, że towarzyszy im wielotysięczna, z dnia na dzień liczniejsza, publiczność.

Jak bardzo zaskoczeni byliby ci ludzie, gdyby mieli okazję zobaczyć, jak zmienia się zachowanie tej uroczej pary po zakończeniu audycji. Sullivan natychmiast podrywał się z fotela i wychodził ze studia bez słowa pożegnania.

Z każdym dniem stawał się bardziej niesympatyczny. Kay pomału zaczynała tracić cierpliwość. Któregoś popołudnia przypadkiem zdarzyło się jej kilkakrotnie natknąć w korytarzu na Sullivana. Za każdym razem mierzył ją jedynie lodowatym spojrzeniem i Kay zdecydowała wreszcie, że ma dość tego gburowatego zachowania.

Wściekła i rozgoryczona zapukała głośno do drzwi gabinetu Sullivana, po czym weszła natychmiast do środka, nie czekając, aż usłyszy „proszę”. Ruszyła przed siebie, już w progu rozpoczynając swą gniewną przemowę.

- Sullivanie Ward, chcę... Sullivan poderwał się z miejsca.

- Jeśli nie masz nic przeciw temu, to, jak widzisz, jestem zajęty. - Wskazał ręką wystraszoną Janelle

Davis, która siedziała naprzeciw niego z notatnikiem na kolanach.

- Janelle - zwróciła się do niej Kay ze słodyczą w głosie - muszę porozmawiać z Sullivanem.

- Czyżbyś naprawdę nie znała podstawowych zasad dobrego wychowania, Kay? - Sullivan zmroził ją wzrokiem. - Usiądź! - rozkazał zdenerwowanej Janelle.

- To tobie brak ogłady i mam już tego dość!

- Z rękoma opartymi na biodrach patrzyła wyzywająco na zdecydowanie rozwścieczonego teraz Sullivana.

- Wychodzę - oznajmiła Janelle, kierując się do wyjścia.

- Zostań - warknął Sullivan.

- Możesz iść - odparła spokojnie Kay, ujmując Janelle pod ramię i odprowadzając do drzwi. Oburzenie na moment odebrało Sullivanowi głos.

- A ty siadaj - zwróciła się do niego i barczysty mężczyzna posłusznie opadł na krzesło. - Już lepiej

- skomentowała Kay, okrążając biurko. Potem usiadła na blacie, skrzyżowała nogi i oznajmiła ze słodyczą w głosie:

- Musimy uciąć sobie małą pogawędkę.

Dostrzegając błysk gniewu w ciemnych oczach, odetchnęła głęboko. Jego spojrzenie złagodniało odrobinę, kiedy Sullivan przeniósł wzrok na jej nogi. Kay doskonale zdawała sobie sprawę, że jej obcisła spódnica kończy się wysoko ponad kolanami, lecz postanowiła nie obciążać jej. Nie pozwoli wyprowadzić się z równowagi.

- Sullivanie, nie chciałeś, żebym wróciła do Denver, i dobrze cię rozumiem. - Podniósł na nią oczy, splatając szczupłe palce. - Byłeś zły na mnie, że porzuciłam przed laty tę rozgłośnię. Uważałeś, że jestem samolubna i zbyt ambitna. Prawdopodobnie miałeś rację, lecz jeśli...

- Ambicja to dobra rzecz - przerwał jej chłodno. - Ty potraktowałaś mnie jak stopień, który pomógł ci wdrapać się odrobinę wyżej. Cóż, dobrze, że ci się udało, nie mam o to żalu. - Sullivan zapalił papierosa, po czym mówił dalej. - Z pewnością nie ma w tym twojej winy. Jeśli ja w wieku trzydziestu jeden lat pozwoliłem, by zadrwiło ze mnie dziecko, mogę mieć pretensje jedynie do siebie.

- Sul... to nie było tak. Ja...

- Było dokładnie tak, Kay. Wbrew rozsądkowi dałem ci pracę w swoim programie. Miałaś siedemnaście lat, spryt i talent. Nie ma w tym nic złego. Za

bardzo cię jednak polubiłem, pragnąłem ciebie. - Sullivan wstał, odsuwając krzesło. - Tak, pragnąłem cię niemal do szaleństwa, lecz wciąż powtarzałem sobie, że jesteś jeszcze dzieckiem, że nigdy nie wybaczyłbym sobie, gdybym...

- Sul - zaczęła Kay, wyciągając ku niemu rękę, którą mężczyzna odtrącił.

- Nie, do licha, nie. Nie chcę, żebyś mnie dotykała, czy nie możesz tego zrozumieć? - Jego oczy raz jeszcze zapłonęły ogniem. - Uznajmy, że wyrównaliśmy rachunki. Ja złamałem zasady i... przespałem się z tobą. Tego żałuję. Ty także jednak złamałaś kilka zasad, kotku. Odeszłaś, nie mówiąc nawet „do widzenia”.

- Och, Sul - odparła Kay jednym tchem. W jej oczach lśniły łzy. - Nie chciałam, lecz ty...

- Tak, oczywiście, nie miałaś wyboru. Dość już wspomnień, Kay.

Naprawdę mam sporo pracy, więc jeśli mogłabyś odejść teraz...

Zrezygnowana i zrozpaczona Kay zsunęła się z biurka.

- Dobrze, nie chcesz słuchać, więc nie będę próbowała niczego wyjaśniać. Zrób jednak coś dla mnie, proszę.

Wydawała się tak przybita, że serce Sullivana ścisnęło się na moment.

- Co takiego? - zapytał spokojnie.

- Czy nie moglibyśmy zapomnieć o przeszłości? Czy nie chciałbyś być po prostu moim przyjacielem, a jeśli nie możesz być przyjacielem, to czy możesz przynajmniej przestać pałać do mnie nienawiścią? Zostawię cię w spokoju, Sullivanie, wiesz jednak, że sporo czasu musimy spędzać razem. Czy proszę o zbyt wiele?

Jego mięśnie napięły się nieznacznie. Chętnie zdobyłby dla niej gwiazdkę z nieba, gdyby to mogło wzbudzić w jej sercu uczucie.

- Nie, Kay - odparł łagodnie. - Zachowywałem się jak ostatni drań, wiem o tym i przepraszam. Masz rację. Przeszłość jest bez znaczenia. Nie ma powodu, dla którego nie mielibyśmy zachowywać się jak dwoje odpowiedzialnych, dorosłych ludzi. Wybaczysz mi?

- Wybaczyłabym ci wszystko - szepnęła.

Sullivan uśmiechnął się smutno.

- Jesteś dobrym dzieckiem, Kay.

- Nie jestem już dzieckiem, Sullivanie - przypomniała mu cicho. - Jestem kobietą.

Nadeszła jesień i Kay z radością usłyszała od Sullivana, że zlecono im i Jeffowi poprowadzenie audycji na żywo z terenu budowy ekskluzywnego osiedla w malowniczej, górskiej wiosce Evergreen.

Tak więc pewnego słonecznego poranka cała trójka wyruszyła w drogę. Ich audycja okazała się wielkim sukcesem. Trzy znane gwiazdy radia nadające na żywo z niewielkiego studia przyciągnęły tłumy. Agenci zajmujący się handlem nieruchomościami byli zachwyceni. Jeszcze przed końcem programu o drugiej po południu wielu słuchaczy Q102 zdecydowało się podpisać kontrakt na budowę domu w tym odległym zakątku.

Kiedy odjechał wóz transmisyjny, Kay i Sullivan, oboje wygłodzeni, szybko przystali na propozycję Jeffa, by zjeść lunch w tej sympatycznej wiosce przed powrotem do Denver.

Wkrótce syci i zrelaksowani siedzieli na tarasie przytulnej kafejki, rozkoszując się słodkim, popołudniowym lenistwem. Kay z uśmiechem spoglądała na Sullivana, który roztaczał przed Jeffem plany przyszłych kampanii promocyjnych. Wyglądał niemal chłopięco, kiedy z entuzjazmem opowiadał o swojej wizji parady w Dniu Kolumba. Kay nie słuchała go prawie, zapatrzona w ciemne, błyszczące teraz oczy.

W pewnym momencie, chcąc zapalić papierosa, Sullivan poprosił Jeffa o ogień. Przyjaciel rzucił mu pudełko zapalek, lecz w jego oczach błysnęły przekorne iskierki.

- A przy okazji - zapytał niewinnie - co stało się z tą złotą zapalniczką, którą zawsze nosiłeś przy sobie? Czyżbyś ją zgubił? - Jeff z trudem powstrzymywał śmiech.

Sullivan bez pośpiechu zapalił papierosa, a potem odparł obojętnym, pozbawionym emocji głosem:

- Tak, już dawno.

Odkąd Sullivan przestał obnosić się ze swym gniewem, wszyscy odetchnęli z ulgą. Kay, niczym za dawnych czasów, często wpadała do jego biura, dzieląc się swymi pomysłami. Sullivan, jak niegdyś, słuchał jej cierpliwie, służył chętnie radą i pomocą. Teraz jednak

Kay wyczuwała wyraźnie, że istnieje granica, której nie wolno jej przekroczyć.

Było już późno, kiedy Kay skończyła pracę w piątkowy wieczór. Szybko zgarnęła rozrzucone na biurku papiery i ruszyła do wyjścia. W rozgłośni o tej porze było już cicho i pusto. Ku swemu zaskoczeniu w końcu korytarza dostrzegła otwarte drzwi gabinetu Sullivana, choć w środku nie paliło się już światło. Nie zastanawiając się długo, zaczęła iść w tamtą stronę. Po chwili stała w pokoju Sullivana, patrząc na srebrny, błyszczący cylinder. Od dnia powrotu pragnęła spróbować tutaj swoich sił. Pamiętała, jak Sullivan uczył ją podciągać się na tym drążku i jak oboje później śmiali się z jej niezdarności. Kiedy wreszcie udało się jej ta trudna sztuka, została nagrodzona gorącymi pocałunkami.

Zrzuciła szybko buty i stając na palcach, dosięgnęła chłodnego metalu. Zacisnęła mocno dłonie i spróbowała podciągnąć się do góry. Po chwili wisiała w powietrzu, chichocząc radośnie, a jej broda opierała się na stalowym drążku.

W takiej właśnie pozycji zaskoczył ją mężczyzna, którego głośny śmiech zwrócił uwagę Kay.

- Znakomicie - pochwalił ją Sullivan.

Kay znieruchomiała, bez słowa obserwując, jak Sullivan zmierza powoli w jej stronę. Zatrzymał się tuż przed nią, obejmując dłońmi jej biodra.

- Sullivanie, nie umiem stąd zejść...

- Puść drążek - odparł łagodnie.

Posłuchała go. Cofnęła brodę, rozluźniła palce i oparła ręce na szerokich barkach Sullivana.

- Dobrze, że akurat przyszedłeś. Mogłabym wisieć tutaj całą noc.

Powoli zsunęła się po twardym ciele Sullivana. Czowała, jak jej spódnica unosi się do góry, odsłaniając wysoko uda. Żadne z nich nie odzywało się. Stopy Kay dotknęły już ziemi, lecz wciąż opierała ręce na barkach Sullivana, a on obejmował jej biodra.

Stali blisko przy sobie w zalanym mrokiem pokoju. Tak cudownie było czuć nacisk mocnych ud, twardego podbrzusza, torsu. Sullivan uniósł dłoń, by pogładzić jej błyszczące włosy.

- Wiesz - powiedział głosem, w którym brzmiała czułość - Jeff nie ma racji. To nie są włosy anioła, lśni w nich księżyc i gwiazdy.

Westchnęła. Poczwała na ustach delikatny, krótki pocałunek. Jego dłonie przesunęły się. Kay czekała, rozchyliwszy bezwiednie wargi.

Sullivan cofnął się o krok i nie odrywając wzroku od zwróconej ku niemu twarzy, zdecydowanym gestem obciągnął jej spódnice. Kay splotła palce na jego szyi, szepcząc żarliwie:

- Sul, proszę, nie...

- Nie miałem zamiaru - odparł, zdejmując z szyi jej ręce. - Kiedy jednak stoisz wtulona we mnie z podwiniętą spódnicą, nie potrafię odepchnąć od siebie tego pragnienia. Dobranoc, Kay - zakończył obojętnym tonem. Uśmiechnął się i odszedł.

- Kay - usłyszała w słuchawce głos Janelle. - Jeśli nie jesteś zbyt zajęta, czy mogłabym przyjść na moment, by porozmawiać o twoim kostiumie na paradę w Dniu Kolumba?

- Oczywiście, Janelle. Prawdę mówiąc, jestem już głodna, więc może poszłybyśmy razem coś zjeść?

- O, tak, to świetny pomysł - zgodziła się chętnie Janelle.

Pół godziny później dwie kobiety siedziały w Cafe Promenade na Larimer Square, jedząc podane im przez eleganckiego kelnera serowe specjały.

- Podobno motywem przewodnim tegorocznej parady ma być Dziki Zachód - zaczęła Kay, popijając wino.

- Tak - potwierdziła z entuzjazmem Janelle. - Sullivan ma jechać na przepięknym, czarnym ogierze.

- Dobry Boże - wystraszyła się Kay - czy ja także mam jechać konno?

- Och, nie, z pewnością nie. Dla ciebie jest miejsce na platformie Q102.

- Uff - odetchnęła Kay. - Konie mnie przerażają.

- Tak, wiem.

- Wiesz? - zdziwiła się Kay.

- Sullivan wspominał o tym. Mówił też, jaki strój byłby dla ciebie najodpowiedniejszy.

- Czyżby?

- Wyobraża sobie ciebie w stroju nauczycielki.

- Nie.

- Nie? - powtórzyła zaskoczona Janelle.

- Nie, Janelle. Ten pomysł wcale mi się nie podoba. Mój wielki partner będzie jechał na karym koniu, zaś panna Clark będzie stała na platformie w białej bluzce i długiej do kostek spódnicy z rękoma grzecznie splecionymi na kolanach.

- Ja widzę to trochę inaczej, ale jeśli wolisz, mogłabyś mieć na sobie kostium Annie Oakley.

- Czy to także jego pomysł? Janelle splonęła się.

- Tak, powiedział, że może ci się nie spodobać pomysł z nauczycielką...

- Zamów dla mnie strój kataryniarki. Wiesz, szeroką atlasową suknię, kabaretki i kapelusz z piórem. I... Co takiego? Czy coś...?

Janelle potrząsała głową z niesmakiem.

- Kay, nie możesz tego zrobić.

- Ależ oczywiście, że mogę. Pracuję z Sullivanem, Janelle, ale nie jestem dzieckiem, któremu trzeba mówić, co ma na siebie włożyć. Czy Sullivan także pozostałym członkom zespołu mówi, w co mają się ubrać?

- To coś zupełnie innego, Kay. Kay zmarszczyła brwi.

- Dlaczego? Ponieważ jestem kobietą? Ponieważ mam pusto w głowie i nie potrafię o niczym decydować?

- To niesprawiedliwe, Kay. Sullivan po prostu...

- Janelle, jesteś bardzo miła, ale uważam, że za bardzo usiłujesz go bronić!

- Tak, to pewnie prawda - przyznała ze smutkiem, Janelle. - Podobnie jak Sullivan stara się chronić ciebie.

- Janelle, tak mi przykro.

- Niepotrzebnie. Sullivan zawsze traktował mnie jedynie jako przyjaciółkę i nie byłoby inaczej, nawet gdybyś ty się nie pojawiła. Ale pamiętaj, Kay, jeśli go zranisz, obedrę cię ze skóry.

Kay uśmiechnęła, dotykając dłoni Janelle.

- Lubię cię, Janelle Davis.

- Ja też cię lubię, Kay.

Obudzona październikowym słońcem, Kay zmrużyła oczy. Nie patrząc nawet na zegarek, wiedziała już, że zasnęła.

Kiedy kwadrans po dziewiątej wpadła do rozgłośni, znalazła kartkę przyklejoną do swoich drzwi: „Kay, twój kostium jest u Sullivana. Janelle”.

Odwróciła się szybko i pobiegła korytarzem.

Poza pełniącym sobotni dyżur prezenterem w rozgłośni nie było nikogo o tej porze. Kay otworzyła z rozmachem drzwi pokoju Sullivana, natychmiast dostrzegając leżące na kanapie pudło. Szybko wyjęła i przyłożyła do siebie suknię z zielonego atlasu i aż jęknęła, widząc głębokie wycięcie dekoltu. Nałożyła w pośpiechu znaleziony strój i po chwili stała przed lustrem, walcząc z mnóstwem przyszytych na plecach haftek.

Skąpa tkanina ledwie przykrywała jej pełne piersi. Spódnica sięgała kolan, lecz jej brzeg był wysoko podwinięty z jednej strony, ukazując zwiewne falbanki i zieloną podwiązkę podtrzymującą pończochę na szczupłym udzie. Żałowała teraz, że nie miała dość rozumu, by zgodzić się na kostium nauczycielki.

Nagle w progu pojawiła się wysoka sylwetka szeryfa, który spoglądał groźnie w jej stronę. Stał na szeroko rozstawionych nogach w skórzanych, haftowanych butach. Dopasowana koszula lśniła bielą, okrywając szerokie ramiona i tors. Na piersi błyszczała srebrna gwiazda. Czarne spodnie opinały muskularne uda. Ponad szczupłymi biodrami widniał skórzany pas, a przy nim pistolet. Na głowie przybysz miał kapelusz nasunięty głęboko na czoło.

Oczy mężczyzny płonęły ogniem, kiedy wszedł do środka, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Kay wytrzymała mroczne spojrzenie Sullivana, choć jej żołądek ścisnął się boleśnie, a wygięte do tyłu ręce drżały.

Uniosła brodę i zwróciła się do niego rozkazującym tonem:

- Sullivanie, czy mógłbyś pomóc mi zapiąć sukienkę? Nie mogę poradzić sobie z haftkami. - Uśmiechnęła się słodko, jakby nie zauważając jego groźnej miny.

Ruszył powoli jej stronę.

- Nie jestem Sullivanem. Jestem stróżem porządku i powinienem aresztować panią za chodzenie po mieście na wpół nago.

Jej mięśnie rozluźniły się i Kay podjęła grę.

- Och, szeryfie, proszę nie wtrącać mnie do więzienia. Kiedy pomoże mi pan uporać się z tym zapięciem, będę wyglądała przyzwoicie.

- Wątpię - odparł, spoglądając znacząco na jej pełne piersi. - Zrobię jednak, co w mojej mocy.

- Zdejmując czarne, skórzane rękawiczki, stanął za nią. - Zabierz ręce, Kay. Zajmę się tym.

Czuła na plecach dotyk delikatnych palców. Zadrżała. Mężczyzna zapiął zaledwie dwie czy trzy haftki, kiedy jego ręce znieruchomiały nagle. Przeniósł wzrok na smukłą szyję Kay. Bez słowa przykrył dłońmi nagie ramiona. Musnął wargami jej kark, a potem szepnął:

- Co ja tu robię, zapinając twoją suknię, przecież zawsze marzyłem o tym, by ciebie rozbierać.

Kay oddychała szybko, wciąż nie mówiąc ani słowa. Sullivan pociągnął ją do siebie. Odchylił na bok pióro strojnego kapelusza, przykładając wargi do wrażliwej skóry na karku dziewczyny.

- Sul, och, Sul - westchnęła, przechylając głowę.

- Kay - mruknął chrapliwie, kęsając ją leciutko.

- Dlaczego musisz być tak słodka, tak czysta? - Zwilżył językiem miejsce poniżej jej ucha. - Dlaczego tak bardzo cię pragnę?

Zwróciła ku niemu twarz. Sullivan uniósł głowę, spoglądając teraz w jej błyszczące niebieskie oczy. Jęknął, zbliżając wolno wargi do rozchylnych ust dziewczyny. Pocałował ją, wciąż próbując jeszcze zapanować nad ogniem, jaki rozpalala w jego sercu. Może potrafiłby powstrzymać ten wybuch pożądania, gdyby nie dojrzał blad różowego zaokrąglenia piersi.

To była jego zguba.

Sullivan jęknął, znów przyciągając ją do siebie. Powędrował dłońmi od talii ku dekoltoowi sukni. Błądząc wargami po włosach Kay, szepcząc jej imię, opuścił w dół atlasowy kostium. Kay nie protestowała.

Przylegając ciasno do jego twardego ciała, zamknęła oczy, rozkoszując się dotykiem silnych dłoni. Ciepłe ręce mężczyzny przykrywały teraz jej piersi. Kciukami delikatnie pieścił wrażliwe czubki miękkich wzniesień. Całowała gładki policzek, zaznaczając językiem kontur ust Sullivana.

- Kay. - Jego głos brzmiał gardłowo. - Kay, kochanie. Otwórz oczy. Spójrz na nas. Jesteś tak piękna.

Kay posłusznie otworzyła oczy, dostrzegając w lustrze parę cudownie obejmujących się kochanków. Posłuszna prośbom Sullivana zapomniała o wstydzie, z przyjemnością obserwując, jak dłonie jedynej mężczyzny, którego kiedykolwiek kochała, pieszczą jej nagie piersi.

- Sullivanie. Jesteśmy... Och, Sul. Pocałuj mnie, proszę.

Jego ręce niechętnie opuściły miękkie, ciepłe wzniesienia; obrócił ją w ramionach i przygarnął do siebie. Całował Kay zachłannie i głęboko, przyciskając dłońmi jej przechyloną głowę. Kay zsunęła z jego głowy kowbojski kapelusz, by zanurzyć palce w miękkie, gęste włosy.

Jej zmysły pijane były pieszczotą. Kay przylgnęła do niego mocniej, rozkoszując się cudownie znajomym smakiem ust kochanka. Ciało pulsowało pożądaniem, kiedy dłonie mężczyzny przesuwają się w dół jej pleców, by spocząć wreszcie na osłoniętych atłasem biodrach. Czują nacisk twardej, gorącej męskości.

Delikatnie uniósł palcem jej brodę.

- Żadna kobieta na świecie nie całowała mnie tak jak ty, moje słodkie kochanie - powiedział. - Ty wiesz, co lubię, prawda, skarbie?

- Ja... tak, tak, Sul - szepnęła.

Czują gorące, wilgotne usta przesuwające się w dół jej szyi i dekoltu.

- Chcę całować cię wszędzie, Kay, wszędzie... Każdy słodki fragment twego ciała.

Nie była w stanie odpowiedzieć. Znow zaplątała palce we włosy Sullivana, bezwiednie przygarniając jego głowę jeszcze bliżej nabrzmiałych piersi.

- Hej, Ward. - Głos Jeffa rozległ się jednocześnie z hałaśliwym stukaniem.

- Sullivanie! - przeraziła się Kay.

Jego oczy wciąż zasnuwało pożądanie, kiedy Sullivan zasłonił sobą Kay, na wypadek gdyby Jeff otworzył drzwi.

- Za chwilę, Jeffrey. - Jego głos drżał zaledwie odrobinę. - Zaczekaj, już wychodzimy. - Oddychając szybko, Sullivan zręcznie uporał się z haftkami zielonej sukni. - Gotowe - szepnął. Jego usta wykrzywił grymas, kiedy Kay obróciła się do niego twarzą. Na prawym ramieniu dziewczyny czerwonym śladem odcisnęła się gwiazda szeryfa.

- Kay, przepraszam. - Zanim zdążyła odpowiedzieć, Sullivan podniósł z podłogi swój kapelusz i popchnął ją w kierunku drzwi.

Jeff w przebraniu pianisty stał na zewnątrz z założonymi na piersiach rękoma.

- No, nareszcie. Już zaczynałem... - Urwał nagle, a jego zdumiony wzrok wędrował od Kay do Sullivana. W oczach błysnęły diabelskie ogniki, a na ustach pojawił się uśmiech.

- Powiedz tylko słowo, a wepchnę ci je z powrotem do gardła.

Jeff wykonał zabawny gest zasuwania ust na suwak, po czym ujął Kay pod ramię.

- Nie zwracajmy na niego uwagi, może zniknie. - Zerknął do tyłu na zapalającego papierosa Sullivana.

- Tak drżą mu ręce, że albo wypił dziś za wiele kawy, albo też...

- Ostrzegam cię, Jeff - warknął zdenerwowany Sullivan Ward.

Na paradę świąteczną dotarli w ostatniej chwili, kiedy platforma Q102 ruszała już powoli w dół Piętnastej Alei.

- To ja jestem winna temu spóźnieniu - usprawiedliwiła się Kay zdenerwowanej Janelle.

Przy okrągłym, obitym zielonym filcem stoliku grali w pokera Dale Kitrell, Dallas Smith i As Pik. Rozpromieniona Sherry w brokatowej sukni z owiniętym wokół szyi kolorowym boa rozdawała karty. Przy mahoniowym barze stał uśmiechnięty Sam Shults, polerując i tak lśniące już szklanki i kieliszki. Jeff uniósł Kay, sadzając ją na barze.

- A przy okazji - zwrócił się do niej z błyskiem w oku - czy Sullivan wspominał ci, że ma podjechać do platformy, zarzucić na ciebie linę i...

- Nie! - zawołała Kay, mając nadzieję, że Jeff żartuje.

- Zaczynam martwić się o Sullivana. Ostatnio zrobił się strasznie zapominalski. - Jeff podkreślił sztucznego wąsa, pogładził dłoń Kay i dodał: - Kiedy zobaczysz, że podjeżdża, masz unieść ręce ponad głowę, zgoda?

- Ale, Jeff...

- To nie mój pomysł - wzruszył ramionami Jeff, zajmując miejsce przy pianinie.

Ze skrzyżowanymi nogami Kay siedziała na barze, przyciągając ciekawe spojrzenia publiczności i wielbicieli, którzy wielokrotnie podchodzili, by uścisnąć jej dłoń, prosić o autograf i chwalić program.

Kay z uśmiechem dziękowała wszystkim, przez cały czas myśląc o tym, co wydarzyło się rano. Na wargach wciąż czuła smak ust Sullivana. Jakby odcisnął na niej swoje niewidzialne piętno, już wtedy, kiedy sześć lat temu pocałował ją po raz pierwszy.

Poznała wielu mężczyzn w Kalifornii; przystojnych, czarujących, zabawnych. Poznała pocałunki niektórych z nich, lecz Sullivan na zawsze pozostał jej jedynym kochankiem. Ich miłosna noc była zbyt cudowna, znaczyła dla niej zbyt wiele. Była dziewicą, kiedy Sullivan posiadał owego pamiętnego dnia jej ciało, a wraz z nim także serce.

Teraz znów rozbudził w niej dawną namiętność. Całował ją dzisiaj z tą samą co niegdyś pasją, ten sam ogień płonął w jego czarnych oczach.

- Hej, Sullivanie - usłyszała czyjś głośny okrzyk. - Dlaczego twoja partnerka nie jedzie wraz z tobą?

Kay przeniosła wzrok na wysoką sylwetkę mężczyzny, który z królewskim dostojeństwem kłusował na karym ogierze. Sullivan ściągnął wodze konia, po czym, wyciągając przed siebie rękę, zwrócił uwagę tłumowi na zdenerwowaną, niepewnie uśmiechniętą Kay.

Sullivan zmrużył oczy, odpiął i przerzucił przez ramię wiszące przy siodle łąso. Rozradowany tłum wiwatował głośno w oczekiwaniu emocjonującego widowiska.

- Taak - zaczął dramatycznie - uważam, że ta hoża dzierlatka powinna znaleźć się pod opieką szeryfa, choćby za to, że tak bezwstydnie chełpi się swoją urodą. Nieprawdaż?

Odpowiedziały mu wesołe, aprobujące okrzyki i gwizdy.

Sullivan zapalił papierosa, ściągnął i zarzucił uprząż, po czym, spinając ostrogami konia, skierował go w stronę platformy Q102.

Kay, zauroczona mistrzowskimi umiejętnościami jadącego obok jeźdźca, zapomniała zupełnie o tym, by unieść w górę ręce. Jej serce biło gwałtownie, rozdarte między dwoma sprzecznymi uczuciami: pragnieniem, by znów znaleźć się w objęciach Sullivana, i przerażeniem, jakim napawały ją konie. Siedziała bez ruchu na wysokim barze z szeroką, rozpostartą na blacie suknią, a jej jasne włosy lśniły w promieniach słońca.

Kiedy doskonale zarzucona lina zacisnęła się wokół jej talii, przytrzymując ręce, Kay poczuła się bezbronna niczym zaplątany w pajęczynę motyl. Sullivan podprowadził konia bliżej, uniósł się w siodle i szybkim, płynnym gestem porwał z platformy srebrnowłosą piękność.

Kay krzyknęła cicho, czując na plecach ciepło jego twardego torsu.

- Nie bój się, Kay - szepnął uspokajająco. - Nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kay machała radośnie dłonią do mijanych po drodze ludzi. Nie czuła strachu, była bezpieczna w ramionach mężczyzny, którego kochała. Uśmiech Kay odzwierciedlał radość przepelniającą jej serce. Była pewna, że gdy tylko parada dobiegnie końca, gdy tylko przestaną ścigać ich ciekawe spojrzenia ludzi...

W radosnym podnieceniu Kay planowała już, co włoży tego wieczoru. Nie miała wątpliwości, że Sullivan zaprosi ją na kolację albo zechce ją odwiedzić. Dobry Boże, nie miała w domu nic, czym mogłaby go nakarmić. Zupełnie nic. Będzie musiała pobiec do supermarketu po kotlety cielece, coś, z czego można przyrządzić sałatkę, ziemniaki do pieczenia. Wino przyniesie pewnie Sullivan.

Czuła się tak szczęśliwa. Nieśmiało odwróciła głowę, by spojrzeć na swojego towarzysza. Oglądał z uwagą czerwoną plamę na jej ramieniu, jego usta, choć wygięte w uśmiechu, wydawały się zaciśnięte.

- Nie martw się tym - szepnęła. - To tylko drobne zadrapanie.

Oczy Sullivana błysnęły, lecz on sam nie odezwał się. Na odległym końcu Broadwayu czekała na nich Janelle za kierownicą szarego mercedesa. Czekala, by odwieźć ich z powrotem do radia.

Kay była zaskoczona, kiedy Sullivan pomógł jej zsiąść z konia, a potem przekazując lejce chłopcu stajennemu, odszedł bez słowa do samochodu.

- Widzę, że nasz wielki jeździec jest znów ponury i milczący. - Jeff ujął Kay pod ramię i poprowadził w stronę mercedesa, sam zajmując następnie miejsce obok niej z tyłu wozu.

Janelle odwróciła się, by powitać Jeffa i Kay. Zamiast pozdrowienia usłyszeli jednak okrzyk grozy.

- Kay! Twoje ramię jest całe pokaleczone. Co się stało?

Twarz Kay oblała się natychmiast krwistym rumieńcem.

- To pewnie alergia.

Jeff poklepał Sullivana po plecach.

- Tak, Kay jest uczulona na konie lub na Sullivana, ja zaś nigdy nie widziałem konia, który by...

Sullivan obrócił się gwałtownie, zwracając na Jeffa chmurne spojrzenie.

- Twoje niewybredne dowcipy być może bawią niektórych słuchaczy, dla mnie jednak są obraźliwe. Jeśli więc nie zamkniesz się wreszcie, będę zmuszony pomóc ci w tym. - Sullivan znów wyprostował się i zapalił papierosa.

Jeff mrugnął okiem do Kay. Janelle, potrząsając głową z dezaprobatą, ruszyła wreszcie. Kay, zdumiona i onieśmielona, wciąż miała nadzieję, że gdy tylko dojadą do rozgłośni, nadarzy się okazja, by mogli porozmawiać z Sullivanem sam na sam. Stało się jednak zupełnie inaczej.

Kiedy Janelle wysiadła, Sullivan natychmiast zajął miejsce za kierownicą.

- Do zobaczenia w poniedziałek - powiedział i ruszył przed siebie, zanim zdumiona Kay zdążyła odpowiedzieć cokolwiek.

- To dopiero wariat - stwierdził Jeff, obejmując dwie kobiety, które wciąż jeszcze patrzyły za znikającym w oddali wozem. - Chodźmy do Leo i utopmy nasze smutki w piwie - dodał.

Janelle, podobnie jak Kay, nie skorzystała z zaproszenia Jeffa.

Kay weszła do zalanego mrokiem mieszkania, ciskając klucze na stojący przy drzwiach stolik. Nie zapalając nawet światła, podeszła prosto do stojącej na środku salonu białej kanapy i wyciągnęła się na niej zmęczona. Tak właśnie, z podłożonymi pod głowę rękoma, przeleżała przez resztę tego ponurego popołudnia.

Za oknem padał deszcz, kiedy znacznie później, przebrana w dżinsy i płaszcz z kapturem, jechała samochodem przez rozświetlone neonami reklam Denver. Zaparkowała bez trudu przed budynkiem Park Lane Towers, a potem

pobiegła szybko do szklanych, ciężkich drzwi. Oczarowany jej uśmiechem, portier wpuścił Kay do środka.

- Przepraszam, zapomniałam klucza - wyjaśniła i, nie czekając na odpowiedź dyżurującego przy wejściu mężczyzny, wsiadła szybko do windy.

Chwilę później stanęła stremowana na dziewiętnastym piętrze przed drzwiami apartamentu Sullivana. Westchnęła ciężko, a potem zdecydowanym gestem zapukała głośno.

- Drzwi są otwarte - usłyszała rozdrażniony męski głos.

W środku było ciemno. W wyłożonym sosnową boazerią pokoju paliła się tylko jedna lampa. W jej skąpym kręgu światła stała opróżniona do połowy butelka whisky i kryształowa szklanka pełna bursztynowego płynu.

Sullivan bez koszuli i butów siedział w skórzanym fotelu. Jedną nogę zarzucił na poręcz miękkiego siedziska, drugą wyciągnął przed siebie, opierając ją na stojącej naprzeciw otomanie.

- Napijesz się? - zaproponował obojętnym tonem. - Lód jest...

- Nie chcę drinka, Sullivanie. - Kay z rezygnacją zajęła miejsce na otomanie nie opodal bosej stopy swojego gospodarza. - I wolałabym, żebyś ty również nie pił.

Sullivan powoli nachylił się ku Kay. Jego włosy były potargane, a na twarzy pojawiła delikatna smuga zarostu. Wyglądał groźnie.

- To niepodobne do ciebie, Sullivanie.

- Skąd ty możesz to wiedzieć?

Kay spojrzała w jego ciemne, gniewne oczy. Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę. Potem mężczyzna znów ukrył twarz w mroku.

- Nigdy nie piłeś, Sul.

- Mam na imię Sullivan. Przestań zwracać się do mnie: Sul. - Uniósł szklankę do ust.

- Przepraszam, Sullivanie. Kiedyś nie piłeś.

- Kiedyś nie robiłem wielu rzeczy, Kay. Ludzie się zmieniają. Nie wiedziałaś o tym?

- To prawda, ale...

- Pierwszy raz w ciągu ostatnich dziesięciu lat zdarzyło mi się dzisiaj wypić więcej niż jeden czy dwa kieliszki, więc jeśli widzisz we mnie potencjalnego alkoholika, możesz przestać się martwić.

- Nie o to chodzi, Sul... Sullivanie, wiem, że nigdy nie miałaś problemów z pić. To nie dlatego...

- Więc, o co chodzi? Powiedz mi, Kay. Po co tu przyszłaś?

Kay wstała i obeszła pokój, zapalając wszystkie światła.

- Nie mogę rozmawiać z kimś, kogo nie widzę - oznajmiła ze zdecydowaniem. Potem wróciła, stając na wprost Sullivana. - Nie wyglądasz najlepiej.

- Nie planowałem żadnych rozrywek na dzisiejszy wieczór. - Nie odrywał wzroku od trzymanej w rękę szklanki. Zamieszał delikatnie płyn, a potem postawił puchar z lodem na nagiej skórze brzucha. Wydawał się tak silny i męski. W eleganckim smokingu nie mógłby wyglądać bardziej podniecająco, pomyślała Kay.

Raz jeszcze usiadła na kanapie, skrzyżowała ramiona i odezwała się cicho:

- Musimy porozmawiać, Sullivanie. O tym, co wydarzyło się dzisiaj w twoim gabinecie.

- A co takiego wydarzyło się dzisiaj? Czy w ogóle wydarzyło się cokolwiek? Jeśli tak, musiałem nie...

- Nie bądź taki nonszalancki, Sullivanie Ward!

- Pochyliła się nad nim. - Doskonale wiesz, o czym mówię. Obejmowałeś mnie i...

Sullivan westchnął.

- Przepraszam. Boże, ile razy każesz mi to powtarzać. - Uśmiechnął się i spojrzał na nią. - Przepraszam. Miałem chwilę słabości i zachowałem się jak nastolatek o rozbuzowanych hormonach.

- Tylko tyle?

- Co jeszcze?

- Wydaje mi się, że chodzi o coś znacznie ważniejszego, Sullivanie. To, co łączyło nas kiedyś...

- Kiedy? - warknął. - Zanim dostałaś to, czego chciałaś i zostawiłaś mnie? Zanim poczułaś, że więcej niczego się już nie nauczysz ode mnie? Zanim doszłaś do przekonania, że nie ma już dla mnie miejsca w twoim życiu?

- To nieuczciwe, Sullivanie. Nie wykorzystałam ciebie nigdy. Zatrudniłeś mnie i...

Z szybkością i wdziękiem, które zaskoczyły Kay, Sullivan pochylił się do przodu, stawiając obie stopy na podłodze i przytrzymując ją pomiędzy zgiętymi kolanami.

- Posłuchaj mnie uważnie, bo jestem już zmęczony ciągłym powtarzaniem tego samego. Zatrudniłem cię, ponieważ byłaś utalentowana. Potem... w bardzo głupi sposób nawiązałem z tobą bliski związek, dlatego że wydawałaś się słodka i pociągająca. Romans w miejscu pracy to błąd, który w dodatku może okazać się fatalny w skutkach, gdy dana osoba jest młoda, ambitna i na tyle sprytna, by za wszelką cenę dążyć do realizacji swoich pragnień.

- Nie było nic złego w naszym związku, Sullivanie. To, co łączyło nas, było...

- Wyjątkowe? - przerwał jej ostro. - Czy to właśnie chciałaś powiedzieć? - Jego oczy błyszczały groźnie, kiedy pociągnął długi łyk whisky i znów odchylił się na oparcie fotela.

- To było wyjątkowe. Ostatnia noc...

- Była pomyłką. Której niezmiernie żałuję i za którą, zdaje mi się, przepraszałem cię już. Zbrzydło mi ciągle powtarzanie tego samego. Sporządź

listę wszystkich złych uczynków, jakich dopuściłem się wobec ciebie, i odpowiem ci podobnie długą listą z wypisanym wielokrotnie słowem „Przepraszam”.

Kay potrząsnęła głową.

- Nie chcę przeprosin. Chcę, by znów było... tak, jak dziś po południu. Chcę, żebyś...

- Żebyś zabrał cię do łóżka? - Powoli pochylił się w jej stronę. - Czy tak, Kay? Poczujesz pragnienie i chcesz je zaspokoić?

- Nie, Sullivanie. Nie chcę pójść z tobą do łóżka - odparła ze smutkiem. - Chcę, byśmy kochali się jak niegdyś. To coś zupełnie innego.

- Naprawdę? - Uniósł w górę gęste brwi. - Cóż, dziękuję, kochanie, że powiedziałaś mi o tym. Nie zdawałem sobie sprawy. Oczywiście...

- Do diabła z tobą, Sullivanie Ward! Skończ z tymi szyderstwami! Słyszysz mnie? To, co wydarzyło między nami pięć lat temu w hotelu Brown Palace, było aktem miłości. Oboje dobrze o tym wiemy. Kochałam ciebie i ty kochałeś mnie. Nigdy nie uwierzę, że było inaczej.

- A więc, jak, u diabła, mogłaś wymknąć się z mego łóżka i pojechać na Zachodnie Wybrzeże? - W jego oczach lśniła złość. - Mój Boże, nie potrafiłem w to uwierzyć. Kochaliśmy się przez pół nocy. Mówiłem ci o swojej miłości, a ty po prostu obudziłaś się i wyszłaś, nie mówiąc nawet „do widzenia”. - Zmierzwił dłonią czarne włosy. - Czy możesz wyobrazić sobie, co czułem, kiedy obudziłem się i stwierdziłem, że odeszłaś? - Potrząsnął głową, jakby chcąc odrzucić od siebie te wspomnienia. Po policzkach Kay płynęły łzy.

- Dlaczego nie poprosiłaś, bym została? - pytała cicho. - Dlaczego? Sul, dlaczego mnie nie zatrzymałaś? Gdybyś tylko powiedział, tylko tyle, nigdy...

- Przestań! Przestań. - Jego głos brzmiał lodowato niczym siąpiący za oknem zimowy deszcz. - Jesteś znakomitą aktorką, ale tym razem ci się nie uda, przynajmniej nie ze mną. Widziałem film, czytałem książkę, znam dokładnie

cały scenariusz. - Teraz uśmiechał się. - Jesteś jak większość z nas, również ja sam. Nie potrafisz zaakceptować prawdy. Mam rację?

- Z oczu Kay płynęły łzy. - Byłaś ambitna i otrzymałaś świetną propozycję pracy w Los Angeles. Pojechałabyś, nawet gdybym błagał cię o pozostanie. Ponieważ jednak nie zrobiłem tego, stanowi to dla ciebie pewnie jakieś usprawiedliwienie. Zawsze możesz wytłumaczyć sobie, że wszystko jest moją winą. Zły, wyrachowany Sullivan pozbawił cię dziewictwa. Stary, przegrany Sullivan zazdrościł twojego sukcesu. Zimny, nieczuły Sullivan pozwolił ci odejść.

Zapalił papierosa i zaciągnął się mocno.

- Może... Sullivanie... Tak żałuję, że... Chciałabym...

- Za późno, kotku. - Wykonał dłonią nieokreślony gest. - Za późno na żal. - Podniósł do ust papierosa. - Ale rozchmurz się, Kay. Wszystko będzie dobrze. Na antenie jesteś lepsza niż kiedykolwiek.

- Dziękuję - powiedziała, ocierając łzy.

- Nie powinnaś, kochanie, być uwięziona tutaj dłużej niż parę miesięcy. - Sullivan wstał, bez wysiłku przeniósł nogę ponad głowę Kay i podszedł do okna.

- Jest już połowa października. Nasz program ma coraz wyższe notowania. Nie później jak w połowie stycznia pobijemy wszelkie rekordy popularności. Nawet nie obejrzysz się, a otrzymasz ofertę nowojorskiej rozgłośni. - Wzruszył ramionami. - Tak to się skończy. Znowu wyruszysz w drogę.

Kay podeszła do niego, opierając miękko dłoń na jego karku. Sullivan drgnął, jakby chciał strącić jej rękę.

- Zanim odejdę, Sullivanie, chcę ci coś powiedzieć. Kładąc się spać, będę pamiętała o tym, jak obejmowałaś mnie dziś rano. - Westchnęła. - Ty również będziesz o tym myślał. - Opuściła rękę. Powodowana impulsem, pochyliła się ku niemu, by pocałować nagie, gładkie plecy. Potem szybko ruszyła do wyjścia.

Sullivan Ward nie odwrócił się, by za nią spojrzeć.

Kay siedziała w mrocznym wnętrzu, rozświetlonym jedynie blaskiem kominkowego ognia. Wciąż miała w pamięci oskarżenia Sullivana. „Zrobiłaś dokładnie to, czego chciałaś... to, czego chciałaś...”

Raz jeszcze po jej policzkach potoczyły się łzy. Najbardziej bolesne było to, że Sullivan, jak zwykle, miał rację. Gdyby naprawdę go kochała, nie potrafiłaby odejść. Nigdy nie zrobiłaby tego. Taka była prawda i Sullivan zawsze o tym wiedział. Mogła winić jedynie samą siebie.

W poniedziałkowy rano Sullivan powitał Kay miłym uśmiechem, jakby w sobotę nie zaszło między nimi nic szczególnego.

- Mamy dziesięć minut, Kay - oznajmił, spoglądając na zegarek. - Zapomniałem powiedzieć ci w zeszłym tygodniu, że zostaliśmy poproszeni, byśmy byli gospodarzami balu Denverowskiego Towarzystwa Astmatycznego. To impreza w stylu lat pięćdziesiątych. - Sullivan skrzywił się. - Chcą, byśmy byli królem i królową tej imprezy. - Wzruszył ramionami. - Co ty na to? Wszystko jest zaplanowane na ten piątek.

- Tak, oczywiście - zgodziła się Kay. - To może być dobra zabawa.

- Świetnie. - Skinął głową. - Musimy się przebrać w stroje z tamtego okresu.

- Coś znajdę - odparła Kay, wstając. - Muszę się pośpieszyć.

- Oczywiście - odrzekł Sullivan. - Jeszcze jedna sprawa. W ostatnim dniu października Sierociniec Thompsona organizuje doroczny bal dla dzieci. Sądziłem, że...

- Możesz liczyć na mnie - zaofiarowała się Kay.

- Kay, to nie jest służbowe wyjście - zaśmiał się. - To znaczy, oczywiście, będzie to dla nas pracą, ale nie dostaniemy żadnych pieniędzy. Na piątek zostaliśmy wynajęci, tutaj jednak zależy to jedynie od naszej dobrej woli.

- Będę tam, Sullivanie - zapewniła go. - I z przyjemnością zrobię to za darmo.

- Dziękuję, Kay. Porozmawiaj z Janelle na temat kostiumów. -
Zaczerwienił się nieznacznie. - Oczywiście, sama zdecydujesz, co włożysz,
dzieci jednak mają wielką nadzieję, że na balu pojawi się wróżka.

- Więc będę wróżką. - Kay uśmiechnęła się. - Czy chcesz mi powiedzieć
coś jeszcze?

Sullivan podniósł się i okrążył biurko. Potem razem ruszyli w stronę
studia nagrań.

- Tygodnik „Mile High” prosił nas o wywiad w dogodnym dla nas czasie.
Powiedziałem, że porozumiem się z tobą i ustalę termin.

- Dobrze - zgodziła się Kay. - Pasuje mi każde popołudnie w tym
tygodniu.

- Znakomicie - odparł Sullivan, otwierając przed Kay obite gąbką drzwi,
za którymi czekał na nich zmęczony nocnym dyżurem Dale Kitrell.

Dopinając spódnice, Kay czuła się niczym nastolatka. Ostatni raz
spoglądając w lustro, zastanawiała się, czy dziewczęta rzeczywiście tak właśnie
ubierały się trzydzieści lat wcześniej. Jej spódnica, wydęta niczym balon,
szeleściła tiulowymi halkami. Biały sweter z angory zdobiła u szyi różowa
falbanka przewiązana wstążką. U jej końców zwisały różowe pomponiki.
Szczupłą talię podkreślał szeroki, skórzany pasek, a stroju dopełniały czarne
baletki i króciutkie skarpetki.

Twarz bez śladu makijażu wyglądała świeżo i młodzieńczo. Kay jeszcze
raz poprawiła fryzurę, zawiązała wstążkę i obficie pomalowała usta
jaskraworóżową szminką. Zadowolona z efektu, cofnęła się o krok i okręciła.
Teraz mogła już wyjść.

Sullivan, zajęty przeglądaniem płyt na zaimprovizowanej scenie sali
zwanej popularnie Big Mac, nie zauważył nadchodzącej Kay. Pod skórzaną
kurtką miał jasnoróżową koszulę wsuniętą w czarne, obcisłe spodnie. Kay
obserwowała go zafascynowana. Wydawał się tak męski, niezależnie od tego, co

miał na sobie. Jego smagłe, wysportowane ciało miało w sobie jakiś zwierzęcy wdzięk, którego nie mogłoby skryć żadne ubranie.

Sullivan podniósł głowę i jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

Natychmiast ruszył w kierunku Kay.

Dziewczyna, ogarnięta nagle dziwną nieśmiałością, skubała nerwowo brzeg spódnicy.

- Cześć - powiedziała cicho, kiedy Sullivan znalazł się u jej boku.

- Wyglądasz tak młodo i ślicznie, Kay - odparł Sullivan, ujmując jej łokieć. - Przysiagłbym, że nie masz więcej niż szesnaście lub siedemnaście lat.

- A tobie nie mogłaby się dzisiaj oprzeć żadna nastolatka. - Kay splonęła się, podnosząc na niego wzrok.

Zabawa wkrótce zaczęła się na dobre, na parkiecie wirowały uśmiechnięte pary w różnym wieku. Sullivan i Kay puszczali przeboje sprzed lat, kołysząc się w takt muzyki i flirtując ze sobą ku uciesze tancerzy.

- Pamiętacie „Jailhouse Rock” króla rock and rolla? - Sullivan zwrócił się z tym pytaniem do rozbawionej publiczności. - Z pewnością tak! A więc chodźcie tu wszyscy, także ci, których widzę tam daleko podpierających ściany i wygniatających krzesła. Zatańczmy to razem. Chcę widzieć wszystkich na parkiecie. Kay, kochanie - mówił dalej do mikrofonu - chcesz pokazać im, jak to się powinno robić?

- Ależ, Sullivanie - odpowiedziała z entuzjazmem - oczywiście, że chciałabym z tobą zatańczyć.

- A więc wszyscy na parkiet! - zawołał Sullivan. Szybko nastawił płytę, zszedł ze sceny, a potem, ujmując mocno wąską talię Kay, pomógł jej zejść ze sceny.

Kay śmiała się, szczęśliwa w ramionach Sullivana. Jej partner z uznaniem obserwował wirującą spódnicę, która odsłaniała poruszające się w rytm szybkiej melodii długie, zgrabne nogi. Kiedy potrząsała głową, srebrzyste włosy kołysały

się wokół twarzy i ramion, aż wreszcie lśniąca nitki prawie zupełnie przesłoniły jej oczy.

Kiedy ucichły już dźwięki melodii, Sullivan odgarnął z jej twarzy to splątane srebro. Kay, zdyszana, opadła na jego pierś. Przytulona, słyszała bicie jego serca. Sullivan położył dłonie na jej barkach i delikatnie odsunął Kay od siebie. Spojrzała na niego, zwilżając spierzchnięte wargi.

- Wracamy do pracy - oznajmił rzeczowo. Jego czoło przecinały dwie grube zmarszczki.

Dopiero godzinę później Sullivan znów zwrócił się do Kay. Jego słowa brzmiały niemal przeproszająco.

- Naprawdę powinniśmy raz jeszcze zatańczyć.

- Zakrywał dłonią mikrofon.

- Ja to zniosę, jeśli tylko ty zdobędziesz się na takie poświęcenie - odparła szybko, patrząc mu prosto w oczy.

Puszczając jej uwagę mimo uszu, Sullivan nachylił się do mikrofonu.

- Zmieniamy rytm - zawołał głębokim, mocnym głosem. - Następna piosenka będzie wolna i romantyczna. Chwytaj więc dziewczynę, o której marzysz przez cały wieczór, ta melodia może ci pomóc.

Po tych słowach Sullivan uniósł Kay ze sceny i opierając rękę na jej biodrze, lekko pociągnął ku sobie. Dziewczyna objęła ramieniem jego szyję. Powoli przygasły światła, ucichły śmiechy, a wszystkie pary kołysały się do taktu romantycznej piosenki Rosemary Clooney „Hey There”.

Sullivan patrzył bez słowa w oczy Kay. Wreszcie poczuła delikatny nacisk jego dłoni i przylgnęła mocniej do twardego ciała, ukrywając twarz w ciepłym zagłębieniu między szyją a barkiem swojego tancerza. Ustami prawie go dotykała. Pragnęła przycisnąć wargi do gładkiej skóry, czuć smak jego ciała, zlizać drobne perełki potu.

Lekko, z wdziękiem, bez wysiłku sunęli po parkiecie z przymkniętymi oczami, ciesząc się swoją bliskością. Kay czuła, jak jej wrażliwe sutki ocierają

się o twarde tors mężczyzny. Sullivan wsunął kolano pomiędzy jej nogi i Kay z żalem zdała sobie sprawę, że tiulowe halki i falbanki praktycznie uniemożliwiają jakikolwiek kontakt. Marzyła, aby ta melodia brzmiała bez końca. Jej palce powędrowały do wycięcia koszuli Sullivana, w którym od początku wieczoru kusiły ją czarne, skręcone włosy. W tym właśnie momencie muzyka ucichła, na sali znów zrobiło się jasno, zaś para disc jockeyów musiała wrócić na swoje podium.

Tuż przed północą na scenie pojawił się prezes Towarzystwa Astmatycznego, który przejął mikrofon, podziękował wszystkim za przybycie, a następnie oznajmił, że czas już ukoronować króla i królową balu.

Usłudni paziowie włożyli na głowę Kay diamentową tiarę, zaś ponętnych kształtów brunetka udekorowała Sullivana złotą koroną.

- Zawsze marzyłam o tym, by pocałować pana - oświadczyła dziewczyna, zarzucając Sullivanowi ramiona na szyję Publiczność wiwatowała rozradowana Wreszcie Sullivanowi udało się uwolnić z uścisku wielbicielki, by podziękować wszystkim. Przystojna brunetka wciąż stała u jego boku Także wtedy, kiedy mikrofon znów przejął prezes Towarzystwa Astmatycznego Ogarnięta nagłą zazdrością Kay usłyszała tylko ostatnie słowa jego przemowy

- ...najlepszej królewskiej parze, jaką kiedykolwiek mieliśmy. - Oklaski. - I najprzystojniejszej. Uważam, że teraz król powinien pocałować królową

Kay stała nieruchomo niczym statuetka, ściskając w ramionach otrzymane przed chwilą róże. Spojrzała niepewnie w stronę Sullivana, by, ku swemu zaskoczeniu, zobaczyć jego rozjaśnioną uśmiechem twarz. Pewny siebie i szarmancki, skinął głową wiwatującym uczestnikom balu, po czym obejmując Kay w talii, przyciągnął ją do siebie

Wyjął bukiet z jej lodowatych rąk, odłożył na bok i szepnął uspokajająco.

- Właśnie przed tym zapomniałem cię ostrzec. Ale niczego się nie bój. Nie pocałuję ciebie naprawdę.

Delikatnie obrócił ją ku sobie Kciukiem uniósł lekko brodę Kay i pochylił się ku jej twarzy. Poczowała muśnięcie ciepłych warg, uważnych i zamkniętych. Instynktownie rozchyliła usta i Sullivan bezwiednie przygryzł miękko jej dolną wargę Kay przyjęła tę pieszczotę i Sullivan zadrżał. Nie zważając na obserwujących ich ludzi, przyciągnął ją bliżej. Kay westchnęła, posłuszna mężczyźnie, który obejmował ją mocno. Opaloną dłonią pogładził jej zarumieniony policzek. Ich oddechy cudownie przemieszały się ze sobą.

Potem podniósł głowę i przez długą chwilę patrzył w oczy Kay. Wreszcie, przypominając sobie o zgromadzonych wokół ludziach, opuścił ręce.

- Po raz pierwszy całowałem prawdziwą królową.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pierwszy śnieg pokrył ulice Denver białym puchem w wigilię Święta Zmarłych. Nie mogąc spać, Kay zdecydowała się pojechać do studia wcześniej i przegrać na taśmy kilka płyt, które zużywały się zbyt szybko.

Do rozgłośni dotarła dziesięć po piątej. Szybko zdjęła puchową kurtkę, futrzane rękawiczki i wysokie, ocieplane buty, po czym rozejrzała się za czystymi kasetami.

Przypomniała sobie teraz, że Janelle wynosiła nowe taśmy do pokoju Sullivana, gdyż w studiu nagrań nie było na nie miejsca. Ruszyła więc szybko korytarzem, by po chwili znaleźć się w zalanym mrokiem gabinecie swojego partnera. Podeszła prosto do dużego biurka, zapaliła stojącą na nim lampę i wysunęła górną szufladę. Na samym wierzchu bez trudu odnalazła wolne taśmy. Kiedy podniosła głowę, zobaczyła Sullivana.

Zamknęła szufladę, nie biorąc z niej nic. Wszystko straciło znaczenie teraz, gdy w przeciwległym końcu pokoju dostrzegła śpiącego na kanapie Sullivana Warda. Jego twarz wyglądała tak niewinnie i spokojnie, mimo

ciemnego zarostu ocieniającego mocno zarysowane szczęki. Zamknięte oczy przysłaniały długie, czarne rzęsy. Szerokie, zmysłowe usta były lekko rozchylone, pomiędzy wargami błyszczały białe, równe zęby. Zmierzwione włosy opadały na czoło.

Sullivan jęknął cicho przez sen i obrócił się w stronę pokoju. Kay, z bijącym sercem, podeszła na palcach do śpiącego mężczyzny. Tak bardzo pragnęła odgarnąć z czoła splątane kosmyki, dotknąć palcami ust, przytulić policzek do pokrytego ciemnymi włosami torsu.

Nagle ciężkie, senne powieki uniosły się. Kay nie próbowała nawet ucieczki. Było już na to za późno. Jego oczy, choć wciąż zaspane, spoglądały na nią bez gniewu. Powoli wyciągnął do niej rękę, którą Kay ujęła z drżeniem, czując, że Sullivan pociąga ją ku sobie.

Nie odzywali się ani słowem. Liczyło się tylko to, że leży obok niego. Jakby to było normalnym, codziennym wydarzeniem, przyciskał do niej swoje silne, ciepłe ciało. Potem zamknął oczy, odnajdując ustami jej wargi.

Był to słodki, powolny pocałunek, jakby cały dzień mieli tylko dla siebie. Kay poddała się pieszczocie tych dających przyjemność ust. Wargami błędził po jej ciele, smakując gładką skórę. Bała się poruszyć, by nie przerwać czaru. Nie uniosła nawet ramion, by go objąć. Czekwała, by rozchylił językiem jej usta.

Westchnęła, kiedy wreszcie wniknął pomiędzy jej wargi. Ten delikatny, czuły pocałunek wydawał się bardziej podniecający niż jakiegokolwiek najgwałtowniejsze nawet pieszczoty. Nie potrafiła wyobrazić sobie przyjemniejszego sposobu spędzenia tego zimnego, śnieżnego ranka.

Sullivan poruszył się nieznacznie. Kay leżała teraz na plecach, a jego twarde ciało wgniatało ją w miękkie obicie kanapy. Czowała pomiędzy udami okryte dżinsem kolano. Ostrożnie wsunęła dłonie pod materiał jego rozpiętej koszuli, z radością gładziła naga, ciepłą skórę. Teraz Sullivan westchnął, a jego ręce odnalazły brzeg grubego, wełnianego swetra Kay.

Podwinął odrobinę do góry włóczkową tunikę, a potem znów poczuła na sobie jego rozpalony tors. Sullivan zadrżał, kiedy zetknęły się ich nagie ciała. Ukrył twarz w jej lśniących, jedwabistych włosach. Kay szeptała jego imię, szczęśliwa i bezpieczna w ramionach kochanka.

Jego serce łomotało głośno i Kay miała wrażenie, że Sullivan walczy z własnymi zmysłami, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Przez długie sekundy Kay miała nadzieję, że instynkt zagłuszy głos rozsądku, lecz już po chwili wiedziała, że tym razem to ona poniosła klęskę.

- Mógłbym tłumaczyć się zamroczeniem sennym - zaczął, podnosząc się energicznie - lecz nie zrobię tego. - Stał ponad nią, przyglądając dłonią zmierzwione włosy. Potem zapiął koszulę i odwrócił się od niej. - Mógłbym tłumaczyć to zmęczeniem.

Kay usiadła i obciągnęła sweter.

- Czy w ogóle musisz się tłumaczyć? Nie mógłbyś po prostu uznać, że zdarzyło się coś, czego oboje pragnęliśmy?

- Nie. - Znów spoglądał na nią. - Co robisz tutaj o tej porze? - Zerknął na zegarek.

Kay wzięła do ręki jego stojące nie opodal pantofle.

- Nieważne. A ty? Dyżurowałeś za kogoś? Sullivan skinął głową.

- Żona Dale'a zaczęła rodzić. Czy mogę prosić o moje buty?

Kay uśmiechnęła się.

- Czy masz już jakieś wiadomości?

- Dzwonił uszczęśliwiony Dale. To chłopiec. Przyszedł na świat o trzeciej. Oboje czują się dobrze.

- To cudownie. - Kay wskazała ręką, by usiadł.

Nie mając siły na jakikolwiek protest, Sullivan opadł na krzesło.

- As Pik słuchał radia i przyszedł zwolnić mnie około czwartej trzydzieści. To dobry chłopak. Kay, oddaj mi buty.

- As jest słodki - powiedziała, obchodząc biurko. Wciąż trzymała w ręku jego buty. - Musisz być zupełnie wykończony. Nie spałeś dłużej niż piętnaście minut, kiedy pojawiłam się tutaj.

Sullivan zapalił papierosa.

- Czuję się świetnie. Ja... co ty, u licha, robisz?

Ignorując jego niezbyt przyjemny ton, Kay uklękła przed Sullivanem.

- Podnieś prawą stopę - zażądała, zaś zdumiony mężczyzna posłusznie spełnił jej polecenie. Z pewnym trudem Kay udało się wsunąć pantofel na nogę swego partnera. Potem powtórzyła podobną operację z drugą stopą.

Z pochyloną głową Kay przykucnęła pomiędzy jego nogami. Ponad nią siedział Sullivan, patrząc, jak światło mieni się w jej srebrzystych włosach.

- To zupełnie niepotrzebne.

- Wiem. - Odrzuciła włosy i uśmiechnęła się. - Nie chcę, żebyś się zaziębił.

Kiedy Kay udało się uporać z butami, Sullivan odetchnął z ulgą. Teraz Kay powinna wstać, a on nareszcie będzie mógł znów oddychać swobodnie. Ku jego zdziwieniu Kay pozostała na podłodze. Jego mięśnie znów napięły się, kiedy powodowana impulsem dziewczyna pochyliła się do przodu, opierając głowę na jego kolanie. Patrzył zafascynowany, jak ociera policzek o jego twarde udo.

- Sullivanie, drogi Sullivanie, czy nie mogliśmy zacząć wszystkiego raz jeszcze?

Sullivan zgniótł papierosa i pogładził Kay po włosach. Kiedy odpowiadał, w jego głosie brzmiała rezygnacja.

- Nie. Nie, Kay, to niemożliwe. Powoli uniosła głowę.

- Ale dlaczego?

Wstał, odsuwając krzesło. Teraz patrzył na nią z góry.

- Ponieważ, Kay - odpowiedział szczerze - boję się ciebie bardziej, niż obawiałem się kogokolwiek w moim życiu.

Śnieg padał przez cały szary, zimny dzień. Doroczny bal jesienny w Sierocińcu Thompsona był zaplanowany na siódmą w hotelu Marriott. Na przyjęciu miały pojawić się wszystkie znane osobistości radia. Kay zostawiła szatniarzowi swoje wielbłądzie futro i teraz już jako dobra wróżka przechodziła przez obszerny hol.

Grupka siedzących przy kominku osób przyglądała się ciekawie atłasowej sukni bez ramiączek, wysokiej, spiczastej czapce i czarodziejskiej różdżce, które składały się na strój Kay. Kiedy odeszła nieco dalej, ich śmiech sprawił, że policzki dziewczyny zaczerwieniły się delikatnie.

W pokoju bankietowym czekał już Sullivan. Wykapany i ogolony wyglądał świetnie w obcisłych, beżowych spodniach. Kaszmirowy sweter w podobnym kolorze okrywał jego szerokie barki. Kiedy zobaczył Kay, na jego twarzy na moment pojawił się dziwny wyraz smutku, który szybko ustąpił miejsca serdecznemu uśmiechowi, jakim Sullivan witał swoją partnerkę.

- Wyglądasz wspaniale - powiedział z przekonaniem. - Dzieci będą zachwycone. - Nie zastanawiając się, wyciągnął rękę, by odgarnąć z czoła dziewczyny niesforny kosmyk. Jego wzrok powędrował na chwilę ku jej pełnym piersiom. Potem wsunął dłonie w kieszenie i znów patrząc w oczy Kay, oznajmił szybko: - Zaraz powinny się tutaj pojawić.

Hałas w drugim końcu sali sprawił, że dalsze wyjaśnienia okazały się nie tylko zbędne, ale wręcz niemożliwe. Ponad dwieście dzieci w wieku od trzech do dwunastu lat wpadło do sali ze śmiechem i krzykiem. W nagle złagodniałych rysach twarzy Sullivana odmalowało się prawdziwe wzruszenie.

- Wybacz, Kay - przeprosił ją uprzejmie, kierując się w stronę hałaśliwego tłumu. Przechodząc pośród gromady małych gości, gładził ich włosy i ścisnął dłonie.

Wreszcie podano obiad i gromada maluchów zabrała się do jedzenia z apetytem i żarłocznością młodych wilczków. Kiedy wreszcie najbardziej nawet wygłodniali z chłopców nasycili się pieczenią, fasolką, słodką kukurydzą,

marchewką, bułeczkami i przede wszystkim czekoladowym tortem, Sullivan wstał, by wygłosić krótką mowę. Gorący aplauz wywołała jego zapowiedź, że na każdego z uczestników zabawy czeka niespodzianka. Natychmiast Jeff, As Pik i Dale Kitrell zaczęli rozdawać kolorowo opakowane prezenty. Potem Sullivan dał znak Kay, by dołączyła do niego na podium. Kiedy znalazła się u jego boku, Sullivan objął ramieniem szczupłą talię dziewczyny.

- Czy nie mogłabyś powiedzieć do nich kilku słów? - szepnął, nachylając się do ucha Kay.

Kay skinęła głową, nie będąc w stanie wypowiedzieć ani słowa przez ściśnięte gardło. Bliskość Sullivana zupełnie odebrała jej głos.

Mężczyzna jakby odczytał jej myśli.

- Zapomnij o tym, Kay - uspokoił ją. - Zrobiłaś już wystarczająco wiele. Tyle małych dłoni dotykało dzisiaj twojej sukni. To naprawdę cud, że nie zmieniła jeszcze koloru.

- Wiem - uśmiechnęła się Kay - ale wcale mi to nie przeszkadza. Dzieci rzeczywiście uważają mnie chyba za wróżkę.

- A nie jesteś nią? - zdziwił się Sullivan, po czym zniknął w tłumie, zanim Kay zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. Również i ona wmieszała się w tłum dzieci, które z ochotą korzystały z okazji, by dotknąć, często umazanymi łapkami, jej czarodziejskiej szaty. Kay była zupełnie wykończona, kiedy opiekunowie ogłosili wreszcie koniec zabawy i zaczęli zbierać dzieciaki do wyjścia. Masując obolałą szyję, opadła na najbliższe wolne krzesło. Po chwili drgnęła przerażona, gdy Jeff dotknął niespodziewanie jej nagiego ramienia, a potem usiadł obok.

- Widziałaś to? - zapytał, kierując uwagę Kay ku odległemu krańcowi sali. W jednym z foteli pogrążony w głębokim śnie siedział Sullivan, trzymając na kolanach również śpiącego chłopca.

Serce Kay ścisnęło się boleśnie, kiedy zapominając na chwilę o obecności Jeffa, pomyślała z żalem, jak cudownie byłoby wraz z Sullivanem dzielić rodzicielskie troski.

- Któregoś dnia powinnaś dać mu takiego brzdąca - Jeff przerwał jej milczenie.

- Co takiego? - zdziwiła się Kay.

- Wiesz, o czym mówię, B.A. - uśmiechnął się Jeff.

- Już za późno - odparła smutno Kay.

- Naprawdę? - Oczy Jeffa błysnęły przekornie. Wstał. - W takim razie ja mam w domu trzy małe potwory i mogę pożyczyć je komuś, kto zechce tylko je wziąć. Dobranoc, skarbie.

Jeff odszedł, zaś wzrok Kay znów powędrował ku śpiącej w drugim końcu sali parze. Potem gwałtownie odsunęła krzesło, odebrała od szatniarza futro i wyszła sama w śnieżną noc.

Na okładce grudniowego „Mile High” sympatyczna para radiowych prezenterów uśmiechała się do kamery. Tego właśnie dnia w Q102 oraz innych rozgłośniach Denver rozpoczęła się rywalizacja o względy publiczności.

Sullivan i Kay dokładali starań, by ich poranny program był jak najbardziej interesujący. W trosce o sukces coraz częściej również pojawiali się razem na różnych uroczystościach, czasami nawet trzy razy w tygodniu. Wszędzie, czy było to otwarcie nocnego klubu, sklepu sportowego, czy też mecz koszykówki, natychmiast otaczali ich wielbiciele. Wielu z nich miało ze sobą grudniowy numer „Mile High”, z którym zgłaszali się do Sullivana i Kay po autografy.

Sam Shults bardzo popierał ich wspólne wyjścia, zaś Kay więcej niż chętnie korzystała z tych okazji, by spędzać popołudnia ze swoim radiowym partnerem. Nie traciła nadziei, że być może z czasem Sullivan odwzajemni jej uczucie. Zdecydowała, że nie będzie na niego naciskać czy też w inny sposób przekonywać go o szczerości swoich intencji. Był dumny i uparty; jedyne, co

mogła zrobić, to okazać Sullivanowi, że jest godna zaufania. Mogła udowodnić mu, że nie pragnie żadnego innego mężczyzny i nie będzie próbowała wywierać na niego najmniejszej nawet presji.

Mogła tylko czekać.

Wydawało się, że Sullivan przyjął z ulgą tę zmianę w zachowaniu Kay. Nie było więcej pocałunków, ponurych spojrzeń, śladów przygnębienia na jego twarzy. Kay czuła, że jeśli znów mają się stać sobie bliscy, najpierw musi zdobyć przyjaźń Sullivana. Właśnie tak było przed laty. Jak para przyjaciół jadali wspólnie posiłki, rozmawiali całymi godzinami, wybierali nowe nagrania i dyskutowali na wszelkie możliwe tematy pod słońcem. Do czasu aż pewnego zimowego ranka, kiedy wpadła zdyszana do studia nagrań, Sullivan wziął ją w ramiona i pocałował po raz pierwszy.

W Święto Dziękczynienia Kay, Sullivan, Jeff oraz reszta zespołu wzięła udział w imprezie nazywanej „Dorocznym Obiadem Świątecznym Kowboja Billa”. Wysoki, barczysty mężczyzna posiadał serce równie ogromne jak i cała jego postura. Przez ponad dwadzieścia lat poświęcał swój czas i pieniądze, by w ten dzień karmić głodnych i bezdomnych.

Członkowie zespołu Q102, podobnie jak prezenterzy innych rozgłośni, z przewiązanymi w pasie białymi fartuchami pełnili rolę kelnerów. To był cudowny dzień dla Kay. Sullivan w radosnym nastroju krążył pomiędzy stolikami, roznosząc półmiski z jedzeniem. Wiele razy spoglądał w jej stronę, jakby chciał zarazić ją swoim entuzjazmem. Uśmiechał się do niej jak za dawnych czasów. Kiedy goście Kowboja Billa rozeszli się już syci i zadowoleni, obsługujący ich dotąd radiowcy mogli wreszcie zasiąść do posiłku. Sullivan z pełnym przysmaków talerzem jako ostatni przyszedł do stołu. Kay czuła, że jej serce zabiło szybciej, kiedy usłyszała tuż za plecami głęboki męski głos:

- Czy to miejsce jest zajęte?

- Do licha, pewnie, że jest - odparł natychmiast Jeff Kerns, przysuwając się bliżej Kay i rzucając Sullivanowi wyzywające spojrzenie.

Ostrożnie stawiając talerz, Sullivan pochylił się ku Jeffowi.

- Posuń się, Kerns. Zająłeś moje miejsce.

Kay nie odezwała się, uśmiechem jedynie odpowiadając mężczyźnie, który usiadł na ławie obok niej. Słowa nie były potrzebne.

Była już ciemna noc, kiedy rozchodzili się do domów. Sullivan w milczeniu ujął Kay pod ramię i poprowadził w kierunku jej porsche'a. Żegnając innych, stąpali po skrzypiącym śniegu. Sullivan, otulony ciepłym, kaszmirowym płaszczem, uśmiechał się, spoglądając z góry na Kay. Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę, czy nie zaprosić go na kawę lub drinka.

- Kay - zaczął Sullivan, kiedy dotarli do samochodu - jedź ostrożnie.

Obróciła się ku niemu.

- Sullivanie...

- Tak? - Sullivan stał tak blisko niej. Jego włosy rozwiewał zimny wiatr.

- Szczęśliwego Święta Dziękczynienia.

- Było szczęśliwe, prawda? - odparł z uśmiechem, ruszając w stronę swojego mercedesa.

Okres rywalizacji rozgłośni radiowych zakończył się piętnastego grudnia. O dziesiątej tego dnia Sullivan wyłączył mikrofon, wstał z fotela i odetchnął głęboko. Kay, również uradowana, podniosła się, wyciągając rękę ku swojemu partnerowi

- Zwycięstwo, współniku. Udało się nam!

- O, tak, kochanie - potwierdził Sullivan i nie zważając na wyciągniętą dłoń Kay, objął ją mocno. Przez chwilę kołysał się wraz z nią, a Kay miała wrażenie, że umrze z szczęścia. Instynktownie przytuliła się do niego.

Niepewnie unosząc ręce, otoczyła talię Sullivana. Śmiech ucichł. Kołysanie ustało. Sullivan, jakby wracając zupełnie do przytomności, odsunął ją od siebie.

- Świetnie - Jeff wsunął głowę do studia - musimy to uczcić. Bądźcie za piętnaście minut u Leo. Otwieramy szampana. - Wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

- Masz ochotę coś przekąsić? - zapytał z uśmiechem Sullivan.

- Umieram z głodu.

- Idziemy? - Ujął jej dłoń.

- Pewnie. - Chichocząc jak dzieci, biegli Broadwayem w grudniowym mrozie. Zapomnieli o płaszczach i teraz ogrzewali się jedynie śmiechem i ciepłem własnych dłoni.

Betty Shults, energiczna żona Sama, postanowiła, że przyjęcie bożonarodzeniowe Q102 odbędzie się w ich ogromnym domu na przedmieściach Denver. Spełniając prośbę Betty, Kay pojawiła nieco przed wyznaczoną godziną przyjęcia, ubrana w długą, podkreślającą figurę, czarną suknię.

- Wyglądasz tak pięknie - zachwyciła się Betty, składając na piersiach pulchne dłonie. Prosząc o pomoc w przygotowaniach, Betty szukała w rzeczywistości okazji, by porozmawiać z Kay przed przybyciem innych gości. - Jak to możliwe, że on jest w stanie oprzeć się twojemu urokowi? - ciągnęła, odbierając płaszcz z rąk speszzonej dziewczyny.

- Kto taki? - Kay spytała z niewinną miną. Betty ujęła okryte aksamitem ramię.

- Nie bądź taka skromna. Sullivan Ward. Oto kto! Kay westchnęła.

- Czy naprawdę cały świat musi zastanawiać się nad tym, co łączy mnie i Sullivana?

- Ależ, kochanie, martwią się tym jedynie ci, którzy kochają was oboje. Wiem, że nie powinnam wracać do starych historii, lecz... cóż, kiedy wyjechałaś poprzednim razem, Sullivan zachowywał się niczym zranione zwierzę. To znaczy...

- Proszę, Betty - przerwała jej błagalnie Kay. - To było dawno temu. Zapewniam cię, że teraz Sullivan miewa się zupełnie dobrze.

- Czyżby? - nie dawała za wygraną Betty, opierając dłonie na biodrach i przechylając na bok głowę.

- Co cię trapi? - wtrącił się do rozmowy Sam Shults, który w tej właśnie chwili wszedł do pokoju.

Kay, odgadując rozpaczliwe znaki Betty, chętnie zmieniła temat.

- Opowiadałam o naszych sukcesach. Sullivan jest przekonany, że w tym roku otrzymamy notowania najlepsze z dotychczasowych.

- Bez wątplenia - potwierdził jej słowa Sam Shults. - I całą zasługę przypisuję tobie, nasz śliczny skarbie.

Wkrótce goście wypełnili dom głośnym śmiechem i rozmowami. Pojawili się wszyscy prawie pracownicy rozgłośni, Kay jednak przez cały czas nerwowo spoglądała na drzwi. Wciąż nie było jeszcze Sullivana Warda. Wreszcie, słysząc jego głęboki, ciepły głos, Kay wypła łyk szampana, odetchnęła z ulg i powoli obróciła się w stronę drzwi.

Stał w przeciwległym końcu pokoju, górując nad tłumem. Jego gęste, czarne włosy były starannie uczesane, śnieżnobiałe zęby lśniły w szerokim uśmiechu. Był tak niewiarygodnie przystojny w doskonale skrojonym garniturze i jasnej koszuli. Wydawał się niesłychanie męski. Był uosobieniem wszystkiego, czego mogła pragnąć kobieta.

U jego boku stała Janelle Davis.

On również dostrzegł Kay. Jego wsunięta w kieszeń dłoń zacisnęła się w pięść. Kay Clark stała naprzeciw niego, patrzyła dokładnie w jego stronę i nie pamiętała, by kiedykolwiek wyglądała piękniej niż w ten zimowy wieczór. Miękki aksamit okrywał jej alabastrowe ramiona. Śmiały dekolt odsłaniał zaokrąglenia gładkich, kremowych piersi. Sullivan był pewien, że każdy gwałtowniejszy ruch ze strony Kay mógłby skończyć się skandalem.

W rozcięciu obcisłej spódnicy dostrzegł szczupłą nogę obciążoną cienką, czarną pończochą.

Miał ochotę udusić Kay Clark.

I pragnął się z nią kochać.

- Wygląda ślicznie, prawda? - w głosie Janelle brzmiała nuta rezygnacji.

Sullivan przeniósł wzrok na zwróconą ku niemu sympatyczną twarz swojej dzisiejszej towarzyszki.

- Kto taki? - zapytał, a jego smagłe policzki pokrył lekki rumieniec.

- Przynieś mi drinka, dobrze? - poprosiła Janelle, po czym ścisząc głos dodała: - I nie musisz się spieszyć z powrotem.

Sullivan uściskał małą dłoń spoczywającą na jego ramieniu.

- Wrócę za pięć minut. Na co masz ochotę? Likier jajeczny? Szampan?

- Whisky - odparła z uśmiechem Janelle, obracając się ku żonie Jeffa Kernsa.

Kay obserwowała podchodzącego do baru Sullivana. Szedł powoli, witając po drodze przyjaciół. Napiła się szampana, udając spokój, którego bynajmniej nie czuła.

- Sammy, małą szkocką dla Janelle, a dla mnie.

- Teraz stał dokładnie u boku Kay, spoglądając na nią z góry - właścicielkę tej sukni. - Uśmiechnął się leniwie, a Kay nie dostrzegła nawet jego palców zaciskających się na blacie baru.

- Tu jest whisky Janelle. - Sam postawił szklanekę na barze. - A co miało być dla ciebie?

Sullivan z ociąganiem przeniósł wzrok na swojego szefa.

- Nie sądzę, by to, czego chcę, mogło być dla mnie dobre, więc na razie zrezygnuję. - Puścił oko do Kay, a serce dziewczyny zabiło szybciej.

Uniosła głowę, nachylając się bliżej jego ucha.

- To byłoby bardzo dobre, więc nie rezygnuj zbyt pochopnie

Zanim zdążył odpowiedzieć, odwróciła się i odeszła z wysoko uniesioną głową. Idąc, czuła na sobie jego spojrzenie. Miała ochotę udusić Sullivana Warda.

I pragnęła się z nim kochać.

Tuż przed Bożym Narodzeniem Kay poleciała do Phoenix w Arizonie, by tam spędzić święta wraz z rodzicami w domu swojego wuja w Scottsdale.

Wcześniej jednak zapukała nieśmiało do drzwi gabinetu Sullivana, po czym weszła do środka.

Sullivan uniósł się z krzesła.

- A więc za chwilę wyruszasz na lotnisko?

- Mój samolot odlatuje za godzinę - potwierdziła.

- Chciałam tylko dać ci prezent.

- Kay - odparł, krzywiąc twarz w uśmiechu - nie powinnaś była... Nie chciałem, byś...

Wręczyła mu pakunek

- Ale ja tego chciałam. To tylko drobiazg. Proszę, otwórz.

Sullivan posłusznie odwinął błyszczący papier.

- Dokładnie to, czego potrzebuję - ucieszył się, biorąc do ręki eleganckie, złote pióro.

- Nie, Sullivanie, nie ma żadnej dedykacji - powiedziała cicho, po czym dodała szybko: - Muszę jechać, mam naprawdę niewiele czasu...

- Zaczekaj, Kay. - Z szuflady biurka Sullivan wyjął małe pudełeczko i podał je zdumionej dziewczynie. - To nic takiego. Zobacz sama.

Po chwili Kay trzymała w dłoniach miniaturowy aparat fotograficzny, nie większy od pudełka zapalek.

- To naprawdę działa - zapewnił Sullivan. - I z pewnością ci się przyda.

Kay podniosła na niego wzrok.

- Dziękuję.

- Powinnaś zapytać mnie, dlaczego będzie ci potrzebny ten aparat.

- Dlaczego? - powtórzyła zaintrygowana. Sullivan uśmiechnął się, widząc jej zaskoczenie.

- Ponieważ ty i ja będziemy pilotami grupy osób, które wybierają się na wyspy Bahama w połowie stycznia.

- Nie żartujesz?

- Opowiem ci o tym, kiedy wrócisz. - Ujął Kay pod ramię i poprowadził w kierunku drzwi. - Wesołych Świąt, Kay.

- Dla ciebie także, Sullivanie. - Na policzku poczuła muśnięcie jego ciepłych warg i jej oczy zapłonęły niczym choinkowe lampki. - Wesołych Świąt!

W Phoenix było ciepło i cudownie. Od swojej zamożnej rodziny Kay otrzymała stosy prezentów. Wszystkich też zaskoczyła jej decyzja, by zaraz pierwszego dnia po Bożym Narodzeniu wyruszyć na zakupy. Nie zważając na badawcze spojrzenia rodziców i wujostwa, zaraz po obfitym śniadaniu Kay pożyczyła samochód ciotki i wyruszyła na wyprawę do ekskluzywnych sklepów Scottsdale z tajemniczym uśmiechem na twarzy.

Wędrowała już myślą ku słonecznej krainie tropikalnego raju. Miała dziwne przeczucie, że właśnie na gorących Wyspach Bahama Sullivan Ward ulegnie wreszcie jej czarowi.

Tego wieczoru Kay wybrała się na kolację z rodziną, trudno jednak było jej skupić uwagę na prowadzonej przy stole rozmowie. Potrafiła myśleć tylko o Sullivanie. Jej serce przepelniała tęsknota. Następnego dnia postanowiła wrócić do Denver. Widziała rozczarowanie w oczach matki, lecz czuła, że nie przeżyje kolejnego dnia bez spotkania z Sullivanem.

Z lotniska w Denver pojechała prosto do rozgłośni. Przeszła szybko obok biurka Sherry, dając znak dziewczynie, że nie ma teraz czasu na rozmowy. Po chwili otwierała już drzwi pokoju Sullivana.

W środku nie paliło się żadne światło. Powitała ją pustka. Kay stała zdumiona w progu, rozglądając się wokół.

- Nie ma go tutaj, Kay - usłyszała za plecami głos Janelle.

Kay obróciła się gwałtownie.

- Wyjechał dziś rano do Vail na narty. Nie wspominał ci o tym?

- Ach, nie, pewnie zapomniał. - Kay uśmiechnęła się słabo.

- Planuje zostać tam do Nowego Roku. Kay bezwiednie zmarszczyła czoło.

- Sullivan ma spędzić Nowy Rok w Vail z... z...

- Sam. - Janelle potrząsnęła głową. - Pewnie wiesz, że Q102 ma ośrodek wczasowy w górach. Aby z niego skorzystać, wystarczy wpisać swoje nazwisko i termin. - Janelle urwała, a potem uśmiechnęła się ze zrozumieniem. - Nie ma z nim żadnej kobiety, Kay. Znam go i wiem, że wiele czasu spędzi, rozmyślając przed kominkiem.

- O czym?

Janelle wzruszyła ramionami.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pierwszą reklamę wycieczki na wyspy Bahama Kay usłyszała, jadąc z rozgłośni do domu w dniu swego powrotu do Denver. W głosie Asa Pik brzmiał entuzjazm.

- Za cenę tak niską, że naprawdę nie wolno ci jej przegapić, ty i wybrana przez ciebie osoba możecie udać się w podróż swojego życia wraz z Sullivanem i Kay, pełniącymi rolę gospodarzy wyprawy. Polecicie do Miami International, gdzie przesiądziecie się na luksusowy statek „Carnivale”, by po dniu rejsu dotrzeć do bajecznie kolorowej wyspy Nassau. Tam spędzicie sześć słonecznych dni i pięć przesyconych zapachami egzotycznych kwiatów nocy w romantycznej...

Kay uśmiechnęła się. Sześć wspaniałych dni w bajkowej scenerii z Sullivanem! Czowała dreszcz oczekiwania, rozczarowanie, jakiego doznała dzisiaj rano, nie wydawało się już tak bolesne. Za niecałe trzy tygodnie będzie przecież miała Sullivana tylko dla siebie pod cudownym, słonecznym niebem.

Roześmiała się głośno. Tylko dla siebie? Z pewnością. Będzie im jedynie towarzyszyło około dwustu turystów. To jednak nie ma znaczenia. Ciepłe, egzotyczne wyspy Bahama to idealne miejsce na romans.

Dzień po Nowym Roku Kay siedziała przy swoim biurku w Q102 z nogami ułożonymi wysoko na blacie. Ziewnęła i zamknęła oczy, opierając głowę na skórzanym obiciu fotela.. Oczami wyobraźni znów widziała opalającego się na piaszczystej plaży półnagiego Sullivana, podczas gdy ona leżała obok, popijając drinki przez kolorową słomkę. Ogarnęła ją senność. Potrzebowała kilku minut odpoczynku.

- Nie tolerujemy tutaj obiboków. - Głęboki, rozbawiony głos natychmiast przywrócił ją do przytomności. Oparty o framugę drzwi w progu jej pokoju stał uśmiechnięty Sullivan Ward. Nie spodziewając się zobaczyć go tak szybko, Kay siedziała bez ruchu i bez słowa, patrząc, jak Sullivan podchodzi bliżej. - Kochanie - ciągnął żartobliwie - tylko ważne figury jak ja powinny korzystać z przywileju opierania nóg na biurku.

Z uśmiechem, według jej własnego przekonania zupełnie idiotycznym, Kay pozwoliła, by Sullivan opuścił jej nogi, a następnie chwycił za rękę i pociągnął ku sobie. Stali teraz twarz w twarz.

- Jestem bardzo rozczarowany, Kay - powiedział Sullivan z powagą.

- Dlaczego? - Dopiero teraz odzyskała głos. - Przecież...

Sullivan pocałował ją w nos, potrząsnął głową i ujął za rękę.

- Miałem nadzieję, że choć trochę będziesz za mną tęsknić, lecz wcale nie widzę, żebyś ucieszyła się na mój widok.

- Och, Sullivanie, naprawdę się cieszę - zapewniła go szybko, nie mówiąc jednak, że dla tej chwili żyła od momentu, kiedy pożegnali się przed niemal dwoma tygodniami.

- To brzmi trochę lepiej. - Uwolnił jej rękę, by położyć dłoń na karku Kay. - Postaw mi kawę i opowiedz o swoich wakacjach.

Po drodze do kawiarni wciąż czuła na szyi jego ciepłą dłoń, choć nie wszystkie płatki śniegu zdążyły się już rozpuścić na zimowym płaszczu Sullivana.

- Do licha - usłyszała jego przekleństwo - ja marznę, a ty bynajmniej nie wydajesz się zziębnięta. Twoja twarz promieniuje ciepłem.

Kay zatrzymała się i zdjęła z karku jego rękę.

- Może kawa cię rozgrzeje. Jak sądzisz? Co ci jest?

- Och, naprawdę nic, Kay. Tylko... cieszę się, że cię widzę - dokończył po chwili.

- Ja też się cieszę.

Kay opadła zrezygnowana na łóżko, ściskając w ręku pilota telewizora. Niestety, meteorolog kanału dziesiątego potwierdził jedynie jej najgorsze obawy.

- Zimne masy powietrza napływają z Kanady. - Mężczyzna wskazał kolorową mapę przed sobą. - Nic nie wskazuje na to, by ta najgorsza zamieć, jaką mieliśmy w Denver od lat, mogła skończyć się wkrótce. Temperatura powinna spaść w nocy znacznie poniżej zera i nie myślcie, że to za zimno na śnieg. Opady...

Kay wyłączyła ze złością telewizor. Spojrzała z rezygnacją na spakowane walizki, a potem raz jeszcze podeszła do okna.

- Niech to licha. - Westchnęła. Burza, jaka rozpętała się w Górach Skalistych, mogła naprawdę uniemożliwić podróż, z którą wiązała tak wiele nadziei.

Samolot, który miał zabrać ich na wyspy Bahama, odlatywał następnego ranka o ósmej. Dzisiejszego popołudnia Sullivan zabrał ją na lunch do Leo, gdzie spotkali także innych pracowników Q102.

W pewnym momencie nachylił się ku niej i szepnął tak cicho, że słyszała go tylko Kay:

- Czy nie masz ochoty na pizzę z parówkami?

Tak bardzo ją to ucieszyło, że Sullivan wciąż pamiętał o jej ulubionym daniu. Zjedli razem pizzę, żartując i rozmawiając jeszcze długo potem, kiedy ich przyjaciele dawno się już rozeszli. Sami przy długim stole sączyli wino, dyskutując na wszelkie możliwe tematy. Rozmawiali o polityce, religii, namiętnościach, modlitwie, płytach i romansach. Mówili o jedzeniu i odrzutowcach. Było jak niegdyś, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy zrodziło się między nimi uczucie.

Kiedy wychodzili z opustoszałego baru, na ulicy powitały ich pierwsze płatki śniegu. Nie zmartwili się tym zbyt. Śnieg w Denver nie był niczym szczególnym.

Kiedy zadzwonił telefon, Kay natychmiast podniosła słuchawkę.

- Tak?

- Czy możesz w to uwierzyć? - Sullivan wydawał się szczerze zmartwiony.

- Och, Sullivanie, sądzisz, że polecimy?

- Mówiąc szczerze, Kay, nie jestem pewien. Burza wciąż się nasila.

- Och, wiem. - W głosie Kay brzmiała prawdziwa rozpacz. - Chce mi się płakać!

- Nie rób tego! Nie mogę znieść myśli, że z twoich pięknych oczu miałyby popłynąć łzy. Całą noc będą pracowały pługi śnieżne. Nie trać wiary.

Kay westchnęła.

- Spróbuję. Będę jednak bardzo nieszczęśliwa, jeśli nie pojedziemy.

- Powiem ci, co zrobimy, gdyby wycieczka została odwołana. Przyniosę do ciebie swój kostium kąpielowy, kwarcową lampę i starą płytę „Wyspa w słońcu”. Nasmarujemy się olejkiem i będziemy leżeli przy kominku.

Kay zawtórowała mu śmiechem.

- To nie będzie to samo, ale trzymam cię za słowo, Sullivanie.

- Odpocznij trochę, Kay. Przyjedziemy z Jeffem po ciebie o siódmej.

Dobranoc. Będę trzymał kciuki.

- Dobranoc. - Kay znów westchnęła i odłożyła słuchawkę. Tak wiele zależało od tej podróży. Teraz wszystkie jej plany i nadzieje zdawały się rozsypywać, przywalone śnieżnymi zaspami.

Następnego ranka o piątej obudził ją głos Dale'a Kitrella.

- ...wciąż pada. Pokrywa śnieżna wokół Denver w niektórych miejscach ma już prawie pół metra grubości.

Zrzucając gwałtownie różową, flanelową koszulę, Kay ruszyła pod prysznic. Naprawdę nie ma się czym niepokoić. Wielkie porty lotnicze nie odwołują startów z powodu odrobiny śniegu. Z łazienki wyrwał ją głośny dzwonek telefonu.

- Kay - W głosie Sullivana słyszała napięcie - czy mogłabyś wyjść z domu o szóstej piętnaście? Obawiam się, że możemy mieć kłopoty z dotarciem na lotnisko.

Kiwając gwałtownie głową, dopiero po chwili Kay zdała sobie sprawę, że Sullivan nie może jej przecież widzieć.

- Tak, tak - krzyknęła niemal. - Będę czekać. Sullivanie, czy polecimy?

- Nie wiem, ale na wszelki wypadek musimy tam być.

Kay ubrana w ciepłe, wełniane spodnie i granatowy sweter otworzyła drzwi Sullivanowi otulonemu zimowym płaszczem. Wokół szyi miał owinięty gruby, biało-czarny szalik. Kay naciągnęła szybko płaszcz, czapkę i rękawiczki i po chwili już witała się z czekającym w holu na dole uśmiechniętym Jeffem. Odbierając od Sullivana część bagaży Kay, puścił do niej oko.

- Byłem pewien, że zobaczę cię w letniej kreacji, B.A.

Kay spojrzała wymownie w górę, po czym wszyscy troje ruszyli do zaparkowanego przed blokiem samochodu.

Jeff pogwizdywał wesoło niczym w pogodny, wiosenny dzień. Jego dobry humor irytował Kay.

- Jeff, czy mógłbyś przestać? - spytała, spoglądając na niego z gniewem.

- Skarbie, martwisz się zupełnie niepotrzebnie - odparł Jeff z błyskiem w oku. - Dziesięć po ósmej będziesz szybować wysoko ponad tym wszystkim, zmierzając w kierunku słonecznej Florydy.

- Do licha, Jeff - zgromił przyjaciela Sullivan. Jego ramię leżało na oparciu fotela Kay. - Nie rozbudź niepotrzebnie jej nadziei. Wiesz dobrze, że podobnej burzy nie było tu od lat. - Zerknął na siedzącą obok, wyraźnie zdenerwowaną dziewczynę.

Kay pochyliła się do przodu, by przekręcić gałkę radia.

- A teraz trochę gorących rytmów w ten mroźny ranek. Otrzymaliśmy właśnie informację, że rozważany jest pomysł zamknięcia lotniska. Wiele lotów zostało odwołanych i wygląda na to, że...

Sullivan wyłączył radio.

- Nie mamy na to wpływu. Może przy odrobinie szczęścia uda się nam odlecieć przed zamknięciem lotniska.

Przez resztę drogi Jeff starał się zabawić Kay opowiadaniem wesołych historii i ostatecznie, kiedy dotarli na miejsce, wszyscy troje śmiali się głośno. Ku zdziwieniu Kay napis na świetlnej tablicy wciąż jeszcze informował, że samolot do Miami startuje o ósmej. Jeff postanowił jednak poczekać, aż jego przyjaciele rzeczywiście wzniosą się w powietrze. Sullivan, ponad głowę Kay, podziękował mu spojrzeniem za tę decyzję. Żaden z nich nie był pewien, czy pasażerowie lotu 111 nie zostaną zawróceni do domu.

Kay wraz z Sullivanem wkrótce znaleźli się na pokładzie, gdzie przez mikrofon witali resztę wsiadających podróżników. Bardzo szybko wszystkie miejsca zostały zajęte i potężna maszyna zaczęła sunąć po pasie startowym z coraz większą prędkością. Kay poczuła znajomy ucisk w żołądku. Latała często, lecz za każdym razem przy starcie odczuwała ten sam irracjonalny strach.

Sullivan ujął jej zimną dłoń, a Kay uśmiechnęła się z wdzięcznością, gdy koła samolotu oderwały się wreszcie od oblodzonej płyty lotniska. Wznosili się coraz wyżej w gęstym, oślepiającym śniegu, by po kilku chwilach, ku radości

wszystkich pasażerów, przebić się przez chmury i szybować w czystej, błękitnej przestrzeni.

Jeff Kerns usłyszał komunikat w momencie, gdy opuszczał halę odlotów.

- Międzynarodowe Lotnisko Stapleton jest oficjalnie zamknięte.

Samolot do Miami był ostatnim, który wzbił się w powietrze.

W porcie czekała na nich elegancka, lśniąca łajba. Z rozpromienioną twarzą Kay wbiegła na pokład, wciąż ściskając dłoń Sullivana.

- Gdy tylko odbijemy od brzegu, pójdę zrzucić z siebie te ciepłe ubrania!

Sullivan uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Po co czekać? Podniesiemy kotwicę nie wcześniej niż za pół godziny.

- Ale nasz bagaż...

- Będzie w twojej kabynie, zanim zdążysz tam dotrzeć.

- Pomożesz mi ją znaleźć? Sullivan zachichotał.

- Chętnie. Jest tuż obok mojej kajuty.

Z przyjemnością obserwował zachwyty na twarzy Kay, kiedy znaleźli się w luksusowo urządzonej wnętrze. Szerokie okno oferowało piękny widok na morze.

- Sullivanie! Tu jest nawet wanna! - wykrzyknęła radośnie Kay, zaglądając do łazienki. Zanim zdążył odpowiedzieć, Kay odczytywała już kartkę przyczepioną do ogromnego kosza z owocami. - Jakie to miłe - stwierdziła z uśmiechem. - To od zespołu Q102.

- Dopiero chwilę później dostrzegła tuzin pąsowych róż stojących na szafce obok łóżka. Zerknęła niepewnie na Sullivana, a potem powoli podeszła, by powąchać kwiaty. Sullivan uśmiechał się tajemniczo.

- Dziękuję - powiedziała cicho, a potem zbliżyła się, by pocałować go w policzek.

- Czekam na ciebie na górze za piętnaście minut - oświadczył i zostawił ją samą.

Blask księżycyca zalewał pokład, po którym spacerowali Kay i Sullivan, uśmiechając się i kłaniając współpasażerom.

Migające w oddali światła powoli stawały się coraz wyraźniejsze. Już wkrótce powitał ich port Nassau, skąd oczekujące taksówki przewiozły całą grupę na wyspę Paradise. Z trudem tłumiąc ziewanie, Kay pozwoliła, by Sullivan odprowadził ją do drzwi hotelowego pokoju. Uśmiechnięty portier wniósł jej bagaże do środka, zaś Sullivan powiedział Kay dobranoc i odszedł do siebie.

Stojąc na balkonie, wdychała nocne powietrze cudownie przesycone zapachem egzotycznej wyspy. Potem szybko rozebrała się i wsunęła między szeleszczące prześcieradła. Mam pięć dni i pięć nocy, myślała zasypiając, na to, by przekonać Sullivana, że jesteśmy stworzeni dla siebie. Potem zmorzył ją sen.

To były cudowne, ale też niezwykle wypełnione dni dla Kay i turystów z Denver. Rola hostessy wymagała, by Kay eskortowała wycieczkowiczów, którzy pragnęli zrobić zakupy i zwiedzić drugą część wyspy. Z niektórymi turystami jadała kolacje w malowniczych kafejkach, często też przyłączała się do osób grających w trik-traka w hotelowej bawialni.

Również Sullivan był bardzo zajęty. Towarzyszył mężczyznom w rybackich wyprawach, brał udział w turniejach, a także pływał o świcie z najbardziej zapalonymi sportowcami. Mimo to Sullivanowi i Kay udawało się znaleźć także trochę czasu dla siebie.

W czwartkowe popołudnie Kay postanowiła wreszcie odpocząć na piaszczystej plaży karaibskiej wyspy. Zasypiała już niemal w gorącym słońcu, kiedy jakiś cień przesłonił niemal całe jej ciało.

Kiedy otworzyła oczy, dostrzegła stojącego obok Sullivana, który z wyraźnym uznaniem przyglądał się jej figurze. Nie ukrywając swego zainteresowania, wędrował wzrokiem wzdłuż jej szczupłych nóg ku łagodnym łukom bioder i płaskiemu sklepieniu brzucha. Zatrzymał spojrzenie na pełnym kształcie piersi skąpo okrytych wąskim bikini.

Czuła się słaba i rozpalona, lecz nie tylko z powodu upału i skąpego stroju. Również Sullivan miał na sobie jedynie czarne, obcisłe kąpielówki. Obraz tego mężczyzny stojącego w szerokim rozkroku mógłby rozgrzać krew w żyłach każdej kobiety. Kropelki wody lśniły na jego ramionach i torsie. Długie opalone nogi wydawały się silne i muskularne. Jego męskość obciskały niezwykle krótkie, przylegające do ciała spodenki.

- Nie boisz się, że słońce spali cię zupełnie? - zapytał, przyklękając obok Kay.

- Prawdę mówiąc, trochę się tego obawiam. - Uśmiechnęła się, myśląc, że w rzeczywistości to nie słońce stanowi dla niej największe zagrożenie.

Sullivan wyciągnął się na piasku. Z jego twarzy wyczytała, że nie jest mu obojętna, lecz Sullivan nie chce poddać się emocjom.

Dnie i noce mijały zdecydowanie zbyt szybko. Kay bawiła się cudownie i musiała przyznać, że Sullivan rzeczywiście starał się spędzać z nią jak najwięcej czasu. Niestety nie było to jego winą, że w programie przewidziano tak wiele atrakcji, w których, jako gospodarze wycieczki, musieli brać udział. Każdy dzień wypełniony był rozrywkami. Poza niedzielą..

Niedziela miała być dniem odpoczynku dla szczęśliwych, zmęczonych podróżników.

Szykując się na bal w sobotni wieczór, Kay zastanawiała się, jak to możliwe, że czas minął tak szybko. Spędziła tyle dni w najbardziej romantycznej scenerii pod słońcem, a Sullivan Ward jak dotąd ani razu nie pocałował jej na dobranoc.

Spoglądając w lustro, spróbowała obiektywnie ocenić swą dzisiejszą kreację. Suknia bez pleców zapinała się na suwak od bioder aż do talii. Szczupłe, opalone plecy rysowały się wdzięcznie pod ramiączkami z białego jedwabiu. Okrywając wąskie biodra, materiał spływał aż do ziemi miękkimi fałdami. Nie skrepowane stanikiem piersi uwypuklały się kusząco. Kay ot-

worzyła butelkę drogich perfum i delikatnie wtarła odrobinę płynu za uszami i w dekolt. Szybko przeczesła włosy i zeszła na dół.

Orkiestra czekała już na scenie wyłożonej marmurem sali. Muzycy stroili instrumenty, zaś ubrani w czerwoną liberię kelnerzy wciąż jeszcze rozstawiali kubelki z lodem i srebrne miseczki z masłem.

- Czy jestem spóźniony? - usłyszała za plecami głęboki, aksamitny głos.

Obróciła się, by zobaczyć Sullivana w eleganckim, czarnym smokingu. Mankiety śnieżnobiałej koszuli zdobiły onyksowe spinki.

- Nie, to ja przyszedłam wcześniej. - Kay odsunęła rękę Sullivana, by poprawić jego lekko przekreśloną czarną muszkę.

- Dziękuję - odparł Sullivan, spoglądając na zegarek. - Masz rację. Jest dopiero ósma trzydzieści.

Sullivan i Kay zajęli miejsca przy środkowym stoliku wraz z ośmioma innymi członkami wycieczki, którzy uważali się za szczególnie wyróżnionych towarzystwem swoich uroczych gospodarzy. Jeszcze zanim podano deser, melodyjne dźwięki muzyki skusiły do tańca pierwsze pary. Kay, oczekująca niecierpliwie chwili, kiedy znajdzie się na parkiecie w ramionach Sullivana Warda, zmierzyła złym spojrzeniem rudowłosą dziewczynę, która niespodziewanie znalazła się przy ich stoliku.

- Sullivanie, tak bardzo chciałabym z tobą zatańczyć. Moja przyjaciółka - tutaj młoda kobieta wskazała głową siedzącą nieco dalej brunetkę - twierdziła, że nie odważę się ciebie o to poprosić.

Po chwili Kay usłyszała radosny śmiech śmiałej turystki, zaś Sullivan wstał i poprowadził na parkiet rudowłosą piękność. Kobieta objęła ramieniem jego szyję i przytuliła się tak mocno do ciała swojego partnera, że policzki Sullivana okrył wyraźny rumieniec. Kay nie spuszczała wzroku z tańczącej pary i odetchnęła z ulgą, kiedy ucichły ostatnie takty melodii.

Sullivan odprowadził do stolika swoją partnerkę, a po chwili znów ruszył na parkiet, tym razem z jej mniej śmiałą koleżanką.

Podobnie minęła reszta wieczoru. Również Kay była proszona do tańca przez różnych członków grupy, spragnionych niezapomnianych wrażeń. Sullivan i Kay wymieniali znaczące spojrzenia, wciąż mijając się jedynie pośród innych par.

Zbliżała się północ, kiedy Kay zobaczyła wreszcie przed sobą wyprostowaną sylwetkę Sullivana.

- Posłuchaj mnie uważnie - szepnął jej do ucha - kiedy skończy się ta melodia, powoli podejdź do drzwi. Wyjdę dokładnie pięć minut po tobie. W ten sposób nie zorientują się nawet, że nas nie ma.

- Będę w kasynie przy pierwszym rzędzie automatów do gry - odparła cicho.

Nie rozmawiali dłużej, kołysząc się w takt romantycznej ballady. Zapomnieli o tłoczących się wokół ludziach, przez kilka chwil mieli wrażenie, że są tylko we dwoje w rozświetlonej blaskiem świec sali. Sullivan przytulał ją mocno, a dziewczyna drżała, czując nacisk jego mocnego ciała. Kiedy koniuszkami palców dotykał pleców Kay, iskierki ognia przepalały jej skórę. Miała wrażenie, że Sullivan obsypuje delikatnymi pocałunkami jej włosy. Przyjemne podniecenie ogarniało ją powoli, wzbudzając łagodne dreszcze. Zamknęła oczy, zastanawiając się, czy można umrzeć z samego tylko pożądania.

Kiedy umilkła muzyka, Kay jak we śnie przeszła przez zatłoczoną salę, by po chwili znaleźć się w eleganckim wnętrzu hotelowego kasyna. Jej uwagę przyciągnęło zamieszanie przy stoliku do gry w kości kilka metrów dalej.

Podeszła bliżej i kupiła kilka pięciodolarowych żetonów. Potem rzuciła jeden z nich na obity zielonym suknem stół i pisnęła z radości, kiedy kostka potoczyła się po chwili ku jedenastce. Klaszcząc w ręce odebrała nagrodę, wciąż zostawiając na stole żeton. Stojący obok niej angielski krupier w eleganckim smokingu uśmiechnął się czarująco.

- Ma pani nie tylko piękne rysy, ale również szczęśliwą rękę. - Jego zielone oczy błysnęły, kiedy spojrzał na nią, i dodał bardzo cicho: - Kończę o czwartej, kotku.

- To świetnie - odpowiedział mężczyźnie Sullivan. - O tej porze kotek od dawna będzie już pogrążony we śnie. - Ujął łokieć Kay i władczy gestem odciągnął ją od stołu.

Kay była zachwycona tym wybuchem zazdrości ze strony Sullivana, odpowiedziała jednak przekornie:

- To moje pieniądze, Sullivanie, postawiłam na tę grę pięć dolarów.

- Wynagrodzę ci straty. - Spojrzał wymownie na śmiałego krupiera. - Gdyby padła wygrana, należy do pana. To wszystko, na co może pan liczyć ze strony tej damy.

Sullivan poprowadził Kay do wyjścia, a potem w dół marmurowych schodów do tropikalnego ogrodu. Blask księżyca oświetlał bujną, wypielęgowaną roślinność.

- Chodźmy na plażę - zaproponował, kiedy minęli pusty o tej porze basen i znaleźli się przy schodach.

- To cudowny pomysł - odparła Kay i szybko dodała: - ale nie mogę. Nasypie mi się piasku do pantofli.

- Zdejmij je.

- A rajstopy, Sullivanie?

Sullivan rozpiął smoking, wsuwając dłoń w kieszeń.

- Też je zdejmij. Kay zarumieniła się.

- Nie mam nic pod spodem... to znaczy...

- Rozejrzyj się, nie ma tutaj nikogo prócz nas. Będziemy spacerować sami przy księżycu. - Uśmiechnął się.

- Odwróć się - zażądała, wręczając mu pantofle. Potem w nerwowym pośpiechu zsunęła szybko rajstopy, podskakując raz na jednej, raz na drugiej

nodze. Nie miała teraz na sobie niczego poza jedwabną suknią, a wiejąca od oceanu bryza układała fałdy materiału blisko jej szczupłego ciała.

- Nikogo już nie spotkasz dziś wieczorem - usłyszała uspokajający głos Sullivana. - Wrócimy do hotelu bocznym wejściem, a ja będę sprawdzał drogę. Nie martw się.

Była to wspaniała, urocza noc. Fale uderzały rytmicznie o brzeg, a światło księżyca zamieniało ziarenka piasku w kryształki srebra. Łagodny wiatr rozwiewał włosy Kay, która raz po raz wolną ręką odgarniała je z twarzy. Jej druga dłoń spoczywała w ciepłej dłoni Sullivana.

Serce Kay zadrżało z radości, gdy Sullivan zaproponował wreszcie, by wrócili do hotelu.

Przed drzwiami pokoju niecierpliwie szukała klucza, by jak najszybciej mogło dopełnić się ich szczęście. Odwróciła się, spoglądając pytająco na Sullivana. Mężczyzna podniósł do ust jej dłoń.

- Kay. - Jego głos brzmiał chrapliwie.

- Słucham - szepnęła jednym tchem.

- Dobranoc - odparł, wręczając jej srebrne pantofle, po czym odwrócił się i odszedł.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Zdumiona i zrozpaczona Kay stała bez ruchu, ściskając mocno balkonową poręcz. Wystawiała na wiatr rozpalone ciało. Nie spełnione pragnienie sprawiało jej ból i napełniało serce tęsknotą. Piekące łzy potoczyły się po policzkach.

Bryza od oceanu owiewała dziewczynę łagodnym chłodem, jakby chcąc ukoić jej smutek, ugasić ogień trawiący drobne ciało.

Odwróciła się, wracając do pokoju. Nie włączyła żadnej lampy, chciała skryć się w mroku, zapomnieć o swojej żądzy i upokorzeniu. Stojąc w cieniu zrzuciła z ramion cienką suknię, pozwalając, by delikatna materia zsunęła się na podłogę po nagich piersiach i biodrach. Potem poszła do łazienki, nałożyła plastikowy czepek i odkręciła prysznic. Strumień zimnej wody przyniósł chwilową ulgę.

Kiedy jednak dziesięć minut później wycierała ręcznikiem zmoczone ciało, wciąż czuła ogień pożądania. Jej smutne rozmyślania przerwało ciche pukanie. Narzuciła szybko szlafrok i ruszyła do drzwi.

Naciskała już na klamkę, kiedy przypomniała sobie, że wciąż ma na głowie kąpielowy czepek. Zerwała go szybko, a wilgotne włosy, ku jej rozpacz, natychmiast rozsypały się po ramionach.

- Kto tam? - zapytała jednym tchem.

- Sullivan - usłyszała w odpowiedzi mocny, stanowczy głos.

Tłumiąc westchnienie, otworzyła drzwi.

Stał w progu, opierając się rękoma o framugę. Nie miał już smokingu, a rękawy białej, rozpiętej teraz koszuli, były wysoko zawinięte. Jego włosy wydawały się zmierzwiłe.

Sullivan nie odzywał się. Po długiej chwili milczenia sięgnął wreszcie do kieszeni spodni i podał Kay parę jedwabnych rajstop.

- Och - zdziwiła się Kay. - Dziękuję... zapomniałam o nich.

Sullivan wciąż nie przekraczał progu pokoju, patrząc bez słowa na stojącą przed nim dziewczynę.

- Kay - powiedział wreszcie ledwie słyszalnym szeptem.

- Tak, Sullivanie. - Wstrzymała oddech.

Wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi. Cały czas nie spuszczał z niej wzroku.

- Kay, ja... cierpię. Tak bardzo cierpię, kochanie. Pomóż mi. Przytul mnie.

- Najdroższy. - Obejmowała go czule. Serce Kay przepelniały miłość i szczęście, kiedy oplótła ramionami jego szyję.

Sullivan pochylał się, przygarniając mocno jej drobne ciało do siebie.

- Kochaj mnie, skarbie. Proszę, kochaj mnie, Kay - westchnął, skrywając usta w jej słodko pachnących, wilgotnych włosach.

- Dobry Boże. - W słowach Kay brzmiało zdumienie. - Wciąż jeszcze zależy ci na mnie, Sul.

- Powiedziałem, że zawsze będę cię kochał. - Delikatnie odchylił dłonią jej twarz, by móc patrzeć w oczy Kay. - I nie rzucałem słów na wiatr. - W jego oczach lśniły miłość i pożądanie.

- Mój Sul - odpowiedziała radośnie i czule.

- Pocałuj mnie, Kay. Chcę zapomnieć o bólu. Kochaj mnie.

Powoli pochylał ku niej twarz. Kay patrzyła w oczy Sullivana, kiedy jego miękkie, ciepłe usta odnalazły jej wargi. Zadrżała, gdy jego oczy zamknęły się w ekstazie, a długie czarne rzęsy przyjemnie łaskotały jej wrażliwe policzki. Potem również ona przymknęła powieki, całkowicie poddając się pieścizocie.

Sullivan kąsał delikatnie jej dolną wargę, drażniąc miękkie ciało, zanim wessał je na moment do ust. Potem ucałował kącik jej warg.

- Kay - szeptał czule - moja słodka, chcę całować cię całą noc. Chcę całować cię dotąd, aż zapomnę o wszystkich latach tęsknoty.

Dotykał językiem jej drobnych, równych zębów. Kay przylgnęła do niego, pozwalając, by ich ciała ogrzewały się nawzajem swoim ciepłem. Sullivan pił zachłannie słodycz z jej ust, nie śpiesząc się i smakując rozkosz, której pragnął od tak dawna. Potem uniósł dłoń, by odsunąć szlafrok z jej ramion, i znów dotknął gorącymi ustami smukłej szyi ukochanej.

- Och, Kay, najdroższa. Pragnę całować cię całą noc - szeptał, kęsając ją delikatnie. - Chcę całować twoje piersi, pępek, kolana. - Czując na karku gorące usta, Kay miała wrażenie, że spłonie za chwilę w ogniu miłości.

Sullivan podniósł głowę.

- I pragnę, byś ty także mnie całowała. Chcę czuć dotyk twoich cudownych ust, chcę, byś doprowadziła mnie do szaleństwa tak, jak tylko ty potrafisz. Czy zrobisz to dla mnie?

Kay, wciąż obejmując jego szyję, szepnęła:

- Pochyl się i zobaczysz, co zrobię.

Sullivan posłusznie spełnił jej żądanie, by po chwili już spragnione usta Kay zawładnęły głębią jego ust. Ich wargi drażniły się ze sobą, potęgując przyjemność i pobudzając zmysły. Sullivan westchnął, przygarniając ją mocniej, gdy Kay wsunęła koniuszek języka pod jego górną wargę.

Nie kazała mu dłużej czekać. Wsunęła język głęboko do jego ust, aż wstrząsnął nim dreszcz cudownego upojenia. Kay przepelniało szczęście i wdzięczność, gdy ich języki splotły się ze sobą w miłosnym pojedynku.

Stali tak, całując się w blasku księżyca, a ich coraz szybsze oddechy zmieszały się ze sobą. Sullivan delikatnie zdjął z karku jej rękę, wyjął z palców rajstopy i upuścił na dywan. Potem położył ciepłą dłoń Kay na swoim torsie, dokładnie tam, gdzie kołatało niespokojne serce. Ciało Kay zapłonęło nowym ogniem i dziewczyna, odrywając usta od jego warg, zaczęła targać koszulę okrywającą ramiona Sullivana. Potem przylgnęła do twardego ciała kochanka, obsypując jego ciemny tors tysiącem słodkich, drobnych pocałunków.

- Ja także pragnę całować cię wszędzie, Sul. Wszędzie.

- Tak, kochanie - odparł czule, rozplątując uparty węzeł frotowego szlafroka. Nie przerywając jej pieszczot, zręcznie uwolnił szczupłe ramiona dziewczyny, zaś Kay nie zauważyła nawet, kiedy jej jedyne okrycie znalazło się na podłodze.

Dopiero kiedy poczuła ręce Sullivana wędrujące w dół jej nie osłoniętych niczym pleców, zdała sobie sprawę z własnej nagości.

- Kocham cię, Kay Clark - mówił, przyciągając ją bliżej. Gęste, czarne włosy drażniły jej nabrzmiałe piersi. Napięte sutki zareagowały natychmiast na dotyk szorstkiego torsu, gdy Sullivan raz jeszcze pochylił się, by ją pocałować.

Po chwili leżeli na chłodnej pościeli i Kay nie potrafiłaby powiedzieć, w jaki sposób znaleźli się tutaj. Nie wiedziała, czy podeszli do łóżka, czy też Sullivan przeniósł ją w ramionach: Ważne było jedynie to, że obok niej leżał mężczyzna, o którym marzyła przez wiele bezsennych nocy. O jej udo pocierał szorstki materiał. Kay zastanowiła się przez moment, dlaczego Sullivan wciąż ma na sobie spodnie.

- Kay - mówił, przeczesując palcami jej włosy - nie było tygodnia, dnia, godziny, żebym nie tęsknił za tobą.

- Ja także, Sul. Przysięgam.

- Naprawdę, kochanie? - Muskał wargami jej wilgotne skronie, drżącą brodę, powieki. - Więc powiedz to, Kay. Powiedz, że mnie kochasz. Powiedz, proszę. - Objął dłonią jej ciepłą, pełną pierś.

- Sul, kocham cię. Zawsze cię kochałam i zawsze będę cię kochać. Jestem twoja teraz i zawsze.

Jego ręka naciskała mocniej na pierś dziewczyny. Obrysował palcem niewielkie, twarde wzniesienie i Kay westchnęła głęboko.

- Och, skarbie - szeptał w ciemności. - Ja również cię kocham. Tak bardzo. Tak bardzo, że... - Przesunął dłoń w dół do jej talii, raz jeszcze odnajdując wargami jej usta. Jedną ręką rozgarniał włosy dziewczyny, drugą zaś powędrował dalej po ciele Kay, gładząc nagie biodro i zatrzymując się

ostatecznie na miękkim kształcie pośladka. Poruszył się, przytulając ją mocniej tak, że Kay mogła czuć teraz pulsujące gorąco wciąż ukryte pod tkaniną spodni. Znów wsunął język głęboko pomiędzy jej wargi, jednocześnie przyciskając tors do jej piersi.

Przez długi czas trwali w tej pozycji, dając sobie nawzajem rozkosz, drażniąc zmysły, ciesząc się każdym następnym krokiem na magicznej drodze ku spełnieniu. Szeptali słowa miłości.

Sullivan uniósł głowę. Jego oczy błysnęły w ciemności, a potem mężczyzna wysunął się z objęć Kay i wstał. Usłyszała dźwięk rozpinanego suwaka i zmrużyła oczy, by zobaczyć, jak Sul zdejmuje ciemne spodnie i zawiesza je na poręczu krzesła. W mroku widać było jedynie zarys muskularnej sylwetki: szerokie barki, płaski brzuch, długie, szczupłe nogi.

- Kay. - W jego głębokim, aksamitnym głosie brzmiała czułość.

- Tak?

Z ciemności wynurzyło się ramię Sullivana. Odnalazł jej rękę. Delikatnie pociągnął dziewczynę, tak że Kay klęczała teraz na łóżku. Oddychała płytko, kiedy Sullivan, opierając kolano na pościeli obok niej, pocałował jej usta. Potem przyciągnął do piersi głowę Kay, gładząc jej srebrzyste włosy.

- Kay, obróć cię teraz tak, że będziemy leżeli oboje z głowami w nogach łóżka.

Odchyliła głowę, spoglądając na niego ze zdziwieniem.

- Jeśli będziemy leżeli na poduszkach, kochanie - wyjaśnił, dotykając delikatnie jej policzka - nie będę mógł cię widzieć. - Nachylił się powoli, by odnaleźć wargami jej napięty, prawy sutek. Obrysował językiem drobny kształt, dotknął go zębami, a potem wessał do ust na cudownie długą chwilę.

- Kiedy będziemy się kochać - ciągnął - kiedy cię posiadę, chcę, abyś patrzyła na mnie. - Uśmiechnął się. - Chcę widzieć ból, przyjemność i miłość w twoich oczach. - Musnął wargami jej usta, a potem raz jeszcze opuścił Kay na łóżko. Teraz jej twarz oświetlał księżyc. - Czy tak nie jest lepiej? - zapytał.

Pragnąc dawać mu przyjemność w każdy możliwy sposób, Kay skinęła głową z rozmarzeniem.

- Mój słodki Sul - szepnęła, gładząc jego ciemne włosy. - Obiecuję, że moje oczy będą szeroko otwarte, jeśli tylko tego chcesz.

- Kay, moja mała Kay. - Jego dłoń wędrowała teraz w dół do wąskiej talii. Na chwilę, z wahaniem, zatrzymał się, rozpościerając palce na gładkim, płaskim brzuchu. - Boże, jesteś taka piękna. - Obserwował z radością drżące ciało, które budziły jego ręce. - Czy wiesz - powiedział z namysłem, że jesteś opalona wszędzie poza wąskim paskiem na twoich cudnych piersiach i białym paskiem na biodrach. To wydaje się niesprawiedliwe, że tych najpiękniejszych fragmentów twego ciała nigdy nie ogrzewają promienie słońca.

Kay westchnęła.

- Cóż, obawiam się, że opalenie się nago nie byłoby mile widziane nawet na tej wyspie.

Sullivan przesunął rękę niżej i pochylił się, by pocałować kolejno obie jasnoperłowe piersi. Władcza dłoń ogarniała teraz ciemny trójkąt na jej podbrzuszu. Delikatnie rozsunął jej nogi i Kay jęknęła cicho, niespokojnie kręcąc głową.

Czekała na niego, wilgotna i stęskniona. Z wdzięcznością Sullivan przyjmował dar jej ciała. On również jęknął, patrząc w anielsko-słodką twarz ukochanej kobiety.

- Kocham cię, Kay - powtarzał. - Nigdy nie przestałem cię kochać, nie potrafiłem. Daj mi swoją miłość.

- Tak, Sul. Zawsze byłeś tylko ty - zapewniła go, obejmując jego szerokie ramiona. Patrzyła prosto w ciemne oczy kochanka, kiedy uniósł lekko w górę jej biodra i wniknął do środka jej ciała.

Poczuła podobny ból jak wiele lat temu. Wciąż nie odrywała wzroku od jego oczu, czując, jak ból powoli zmienia się w przyjemność. Ciepły oddech Sullivana pieścił jej twarz, zaś on sam szeptał uspokajająco:

- Moje kochanie. Przepraszam, przestanę. Zaczekam.

- Nie - westchnęła, obejmując go mocno. - Chcę tego. Pragnę, byś mnie kochał.

Obsypywał pocałunkami jej policzki, ramiona, piersi, czuł, jak jej miękkie ciało odpręża się powoli, przyjmując jego męskość. Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego teraz sprawia jej ból, niemal taki sam jak owej pierwszej nocy. Wszelkie rozważania nie miały jednak znaczenia, gdy ciało Kay kusiło jego zmysły. Przez cały czas patrzyła w jego oczy, unosząc głowę, by całować szyję, barki, usta kochanka.

Porwany ogniem namiętności, unosił i opuszczał biodra, coraz bardziej zagłębiając się w jej cudownie wilgotną kobiecość. Przytrzymywał ją dłońmi, podnosząc ku sobie, kiedy poruszali się razem rytmem wciąż szybszym i gwałtowniejszym.

Spleceni w cudownym uścisku, przy blasku księżyca, Kay i Sullivan doświadczyli rozkoszy, o której oboje dawno już zapomnieli. Nie pamiętali, że tutaj na tym świecie może być tak dobrze.

Oni jednak nie byli już na tej planecie.

Szybowali wysoko ponad chmurami, połączeni w harmonii spełnienia. U samego szczytu rozkoszy oczy Kay rozbłysły zachwytem, a potem powoli, sennie zamknęły się. Po chwili jej powieki znów zatrzepotały, kiedy usłyszała łagodny głos Sullivana.

- Mój skarbie, zamknij oczy, jeśli chcesz. Kocham cię, Kay. Kocham cię.

Kay uśmiechnęła się leniwie, przymknęła oczy i westchnęła, czując na powiekach ciepłe usta kochanka. Leżała bez ruchu, wspaniale nasycona, a wargi Sullivana błędziły po jej twarzy, włosach, szyi. On sam wciąż pozostawał wewnątrz niej, nie chcieli jeszcze, by rozdzieliły się ich ciała. Muskając jej różową sutkę, Sullivan obrócił się na bok, pociągając Kay za sobą.

- W marzeniach - szeptał, przybliżając twarz do jej wilgotnej skroni - kiedy wyobrażałem sobie ciebie znów w moich ramionach, nie sądziłem nigdy, że będzie tak wspaniale.

Kay uśmiechnęła się, unosząc rękę, by dotknąć jego ust.

- Wiem - odparła. - Sullivanie, chciałabym ci coś powiedzieć.

Sullivan pocałował błędzący po jego wardze palec.

- Co takiego, skarbie?

- Pamiętasz naszą pierwszą noc, w Brown Palace? Byłam wtedy dziewczyną.

Sullivan przygarnął ją mocniej.

- Najdroższa, czy mógłbym kiedykolwiek zapomnieć?

- Chciałam powiedzieć, że... ja... Sul... nikogo nie było od tamtej nocy. To był jedyny i ostatni raz. Aż do dzisiaj.

Sullivan oparł się na łokciu.

- Moja słodka Kay - powiedział, wyraźnie wzruszony. - To dlatego sprawiłem ci teraz ból. Och, skarbie, zraniłem cię. Wiedziałem, że sprawiam ci ból, dlatego że... - Urwał, całując ją z ogromną czułością. - Kay - powiedział, odgarniając z jej twarzy srebrzysty lok - wtedy, przed laty, dałaś mi wspaniały dar. I dzisiaj ponownie obdarzyłaś mnie w ten sam sposób. Jesteś moim najdroższym skarbem, Kay.

Jestem przy tobie tak szczęśliwy. - Zamilkł na chwilę. - Posłuchaj mnie, spałem z innymi kobietami - wyznał - ale przysięgam, nie kochałem żadnej z nich.

Sullivan leżał teraz na plecach, a Kay bawiła się czarnym zarostem na jego torsie. Drugą dłonią gładziła policzek ukochanego.

- Sul, czy możemy teraz porozmawiać?

Sullivan przeciągnął się leniwie, potem podłożył ręce pod głowę.

- Tak, Kay, musimy porozmawiać.

- Przez pierwsze miesiące po wyjeździe wciąż do ciebie pisałam - przypomniała mu Kay.

- Tak, listy pełne były entuzjastycznych informacji o rozgłośni w Los Angeles i twoich sukcesach. - Sullivan odnalazł w kieszeni koszuli paczkę papierosów i zapalił jednego.

- Owszem, lecz pisałam też, jak bardzo za tobą tęsknię.

- Skarbie, być może tęskniłaś, ale nie pokazałaś się w Denver przez prawie trzy miesiące.

- Nie mogłam się wcześniej wyrwać, a poza tym, czy to zmieniłoby cokolwiek? Kiedy przyjechałam, ty i tak byłeś nieosiągalny. Boże, nie mogłam uwierzyć, kiedy powiedziano mi, że wyjechałeś na ryby. Nikt nie wiedział nawet, dokąd.

Sullivan uśmiechnął się.

- Prawdę mówiąc, ukryłem się w mieszkaniu.

- Sul!

- Przepraszam, kochanie. - Zgniółł papierosa i wziął Kay w ramiona. - To było tchórzostwo, wiem, lecz nie umiałbym spojrzeć ci wówczas w oczy.

- Wiedziałaś, że zniknąłeś, by uniknąć spotkania ze mną. - Podniosła do ust jego rękę, by przesunąć koniuszkiem języka wzdłuż linii życia. - Dlatego nie pisałam więcej.

- Przyjechałem raz do Los Angeles - wyznał nieśmiało.

- Naprawdę? - Kay uniosła się na łokciu. - Czy próbowałeś skontaktować się ze mną, czy dzwoniłeś?

- Widziałem ciebie.

- Ja nie... Ty?

Westchnął

- Skarbie, chciałem zadzwonić do ciebie, zabrać cię na kolację. Potem zdenerwowałem się. W Los Angeles była wielka parada, musiałem walczyć z dziećmi i ich rodzicami o miejsce w pierwszym rzędzie, ponieważ słyszałem, że twoja stacja ma brać udział w tej gali.

- Więc stąd wiedziałeś?

Sullivan skinął głową i uśmiechnął się.

- Byłaś tam, pokazując hałaśliwemu tłumowi wszystkie swoje wdzięki. Ja zaś patrzyłem na to, odczuwając na przemian nienawiść i miłość. - Jego uśmiech zniknął. - Boże, miałem ochotę ściągnąć cię z platformy, okryć koszulą i zabrać do domu.

- Najdroższy - odezwała się wzruszona Kay - dlaczego nie zrobiłeś tego?

- Kay, skarbie, obawiałem się, że kopniesz mnie w kostkę, mówiąc, żebym zajmował się swoimi sprawami i, do licha, miałabyś rację. Jesteś dorosłą kobietą, która potrafi decydować o sobie bez mojej pomocy. Pragnąłem, abyś pozostała moją małą, słodką Kay. Ty zaś chciałaś o wiele więcej i nie winię cię za to.

- Sullivanie, zmarnowałam tyle lat. - Pochyliła się ku niemu. - Obejmij mnie, Sul, naucz mnie kochać siebie.

- Och, Kay, to potrafisz lepiej na świecie.

Kay, wciąż pochylając się nad nim, pocałowała najpierw górną, potem dolną wargę Sullivana, kęsając je leciutko.

- Myślałem o tym, skarbie, że skoro już jesteśmy na wyspach Bahama, powinniśmy to wykorzystać. Nie sądzisz?

- Tak - Kay nie zwlekała z odpowiedzią. Znowu całowała jego usta, drażniąc je delikatnie.

- Jutro... - mówił leniwie - moglibyśmy wstać wcześniej, polecieć na Eleutherę...

- Zaczekaj, Sul. - Uniosła głowę, zakładając za ucho włosy. - Eleuthera? Gdzie to jest? Co to jest?

- Skarbie. - Nakrył dłonią jej pełną pierś i teraz patrzył z zachwytem, jak pod jego palcami uformował się twardy, kuszący pączek. - Eleuthera jest jedną z dalej położonych wysp. To około stu pięćdziesięciu kilometrów stąd. Jest mała i rzadko odwiedzana. Z pewnością nie natknęlibyśmy się na nikogo z naszej grupy. - Kciukiem obrysował czubek jej piersi.

- Och, Sul, zróbmy tak - zawołała uszczęśliwiona Kay. - Pojedziemy tam i spędzimy cały dzień...

Pociągnął ją ku sobie, pocałował, a potem delikatnie ułożył na plecach. Kay, wygięta w łuk, rozkoszowała się dotykiem gorących warg kochanka, aksamitnym językiem Sullivana, który badał głębię jej ust. Kiedy jego wargi zaczęły wędrować w dół jej ciała, zatraciła zupełnie poczucie rzeczywistości. Westchnęła cicho, zamykając oczy, gdy ciepłymi ustami pieścił jej sutki. Dłoń kochanka przesuwała się łagodnie pomiędzy jej jedwabistymi udami.

Podróż nie trwała długo. Z samolotu szybko przesiedli się na prom, który zabrał ich do portowego miasteczka Dunsmore.

Kay dotrzymywała kroku Sullivanowi, gdy przemierzali szybko wąskie uliczki. Sullivan zdawał się dokładnie wiedzieć, dokąd chce iść.

Stanęli przed niewielkim hotelikiem. Sullivan puścił rękę Kay i skierował się prosto ku recepcji. Kay rozglądała się po pustym holu, odgadując, że tu mają spędzić resztę dnia.

- Ustaliłem, że popłyniemy na małą bezludną wyspę. W hotelu przygotowują dla nas lunch. Zabierzemy jedzenie, w porcie będzie czekała na nas łódź. Co ty na to?

- To wspaniały pomysł - odparła z zachwytem. Niecałą godzinę później wysiedli na piaszczystym brzegu maleńkiej wyspy, która tego dnia miała należeć tylko do nich. Mężczyzna, który przyплыwał tam z nimi, obiecał wrócić dokładnie o ósmej wieczorem.

Sullivan i Kay, skuszeni szumem fal, zdecydowali się najpierw na kąpiel. Baraszkowali w wodzie, śmiejąc się, krzycząc i ochlapując się nawzajem, aż oboje poczuli wreszcie błogie zmęczenie. Sullivan poniósł Kay na brzeg i ułożył na ogromnym kąpielowym prześcieradle. Odpoczywali w słońcu, szczęśliwi i rozleniwieni, aż poczuli głód.

- Sullivanie - ucieszyła się Kay, zaglądając do dużego wiklinowego kosza
- pomyśleli o wszystkim. Mamy zimną pieczeń, szynkę, ser, chleb, wino i
owoce.

Po lunchu drzemali chwilę, zbyt syci, by zdobyć się na jakikolwiek
wysiłek. Kay obudziła się pierwsza. Obok niej spał spokojnie Sullivan z głową
opartą na zgiętym ramieniu.

Kay wstała, przeciągając się leniwie. Stąpając po rozgrzanym piasku,
podeszła do chłodnej, przejrzystej wody. Po chwili już szafirowe fale obmywały
jej piersi. Kay odbiła się od dna i zaczęła płynąć, rozcinając lśniąca wodę
miękkimi, spokojnymi ruchami. Płynęła sama, przystając niekiedy, by odgarnąć
z oczu mokre kosmyki włosów.

W pewnym momencie, przechylając do tyłu głowę, by zanurzyć ciężkie,
jasne loki, poczuła, jak coś ciągnie jej stopę. Kopiąc gwałtownie, szybko
rozpoznała napastnika. Ze śmiechem uwolniła się z jego uścisku i po chwili
Sullivan wynurzył się tuż przed nią.

- Jak długo tu jesteś? - zapytał, obejmując ją w talii.

- Niedługo. Spałeś tak smacznie. - Położyła dłonie na jego gładkich
barkach.

- Hm, teraz jestem zupełnie rozbudzony i gotów do działania.

- Obawiam się, proszę pana - odparła przekornie - że trafił pan na złą
wyspę.

- Na pewno nie - zaprotestował Sullivan. - Działanie, które mam na myśli,
może być podjęte jedynie w tym miejscu. - Wędrował rękoma w górę do jej
piersi. Kay poczuła dreszcz podniecenia, kiedy Sullivan zręcznie odpiął stanik
kostiumu, wciąż nie odrywając wzroku od jej oczu. - Czy tak nie jest przyje-
mniej?

- To prawda - przyznała.

- Czemu więc nie pozbędziesz reszty tego stroju?

- Sul, czy... A jeśli ktoś...

Ignorując jej nieśmiałe protesty, Sullivan szybko uporał się z dolną częścią kostiumu Kay.

- Chcę popływać z tobą nago. Czy ty nie masz na to ochoty?

Kay mogła jedynie skinąć głową. Z pewnym przestachem patrzyła, jak jej towarzysz ciska na brzeg obie części kostiumu, a za nimi również swoje kąpielówki. Potem przyciągnął Kay do siebie, oplatając jej szczupłe uda wokół swojej talii, i pocałował ją czule.

- To wszystko, co możesz teraz dostać. Nie chcę cię rozpieścić.

Kay ugryzła delikatnie jego wilgotne ramię, odepchnęła Sullivana i popłynęła w stronę zielononiebieskiej linii horyzontu. Szybko zdecydowała, że na tej wyspie powinno się zabronić używania kostiumów kąpielowych.

Sullivan podążył za nią. Pływali, ścigali się, leżeli, pozwalając, by unosiły ich fale. Potem, nadzy, wyszli na brzeg i odpoczywali na kocu, wystawiając ku słońcu wilgotne ciała.

Kay zasypiała prawie, kiedy usłyszała szept Sullivana.

- Kocham cię, najdroższa.

Uniosła powieki dokładnie w momencie, gdy wargi Sullivana dotknęły jej ust. Przez cudownie słodką chwilę mężczyzna obsypywał pocałunkami jej twarz. Potem jego pieszczoty stały się bardziej namiętne, wzbudzając w dziewczynie pragnienie tego, co tutaj, na gorącej, piaszczystej plaży, wydawało się nieuniknione. Wzdychała, szepcząc cicho jego imię.

Usta Sullivana wędrowały w dół jej rozgrzanego ciała, aż dotarły wreszcie do wzniesienia uwieńczonego delikatnym różowym czubkiem.

- Słodkie - szepnął, zwilżając językiem sutkę. Potem wessał ją, a powieki Kay trzepotały w ekstazie. Wreszcie jego wargi znów powędrowały w dół, znacząc ścieżkę wzdłuż płaskiego, ciepłego brzucha. Kiedy językiem odnalazł jedwabiste, wrażliwe sekrety jej kobiecości, Kay wiała się, pragnąc uniknąć rozkosznej tortury. Ręce kochanka mocno przytrzymały jej biodra, aż Kay

zrezygnowała z dalszej walki. Nie chciała już uwolnić się z tych cudownych więzów.

Sullivan dręczył ją pieścizotą, wciąż cofając się za ledwie o krok od spełnienia, by po chwili znów podejmować swe miłosne zabiegi. Kiedy wreszcie ogarnął jej ciało ogień, Kay wykrzyczała w zachwycie imię kochanka, garnąc się mocno do jego ciała.

Potem leżała zmęczona i bez ruchu, zbyt szczęśliwa, by mówić cokolwiek. Sullivan wciąż pieścił ją, przytulając do siebie. Słyszała bicie jego serca, mocne i szybkie, czuła jego pożądanie, nacisk nabrzmiałej męskości. Wreszcie Sullivan położył Kay na plecy, a potem sam znalazł się ponad nią.

- Chciałbym zaczekać trochę, kochanie, ale... - szepnął, a w jego ciemnych oczach zobaczyła błysk udręczenia.

Wszedł w nią delikatnie i zapoczątkował powolny rytm, cały czas patrząc na twarz Kay. Ku własnemu zdziwieniu poczuła, jak jej ciało znów budzi się do rozkoszy, pnie ku wspólnemu spełnieniu. Odgadując jej odczucia, Sullivan zwolnił ruchy, by zabrać ją wraz z sobą ku krainie błogiego szczęścia. Kochał ją wspaniale i czule.

Ich ciała, w cudownej harmonii, pulsowały złączone w jedno. Kay szeptała imię kochanka, wraz z nim wznosząc się wciąż wyżej i wyżej. Eksplozja rozkoszy porwała ich oboje, pozbawiając świadomości. Zatracili się w przyjemności, jakiej żadne z nich dotąd nie znało.

Fale zachwyty uspokajały się powoli. Kay i Sullivan leżeli, syci i szczęśliwi. Nadzy we wspaniałym tropikalnym raj, beztroscy i przepełnieni radością.

- I jak podoba ci się ta przygoda? - zapytał wreszcie Sullivan.

Kay odpowiedziała jedynie nieśmiałym uśmiechem, obejmując go mocno.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jeff Kerns czekał na nich w hali lotniska. Jego oczy błysnęły, gdy zobaczył idącą naprzeciw niego uśmiechniętą Kay. Tuż za nią podążał Sullivan. Również na jego twarzy jaśniał uśmiech, jakiego Jeff nie widział od lat.

- Oto więc Adam i Ewa powracający z rajów, znów odziani, lecz szczęśliwi.
- Jeff ruszył w ich stronę. Kay spłonila się leciutko, zaś Sullivan spojrzeniem nakazał przyjacielowi milczenie. - To tylko próbka mojego dowcipu - usprawiedliwiał się mężczyzna.

- Czy kiedykolwiek witałeś kogoś, używając bardziej normalnych zwrotów? Na przykład: „Miło was znowu widzieć?” - zapytał Sullivan, obejmując władczo spłonioną Kay.

Jeff opuścił niżej daszek swojej granatowej czapki.

- Cieszę się, że was widzę - powiedział, wzruszając ramionami.

Kay, odrobinę już rozluźniona, chwyciła delikatnie klapę marynarki Jeffa i przyciągnęła go bliżej. Cmokając przyjaciela w policzek, szepnęła:

- Czy to aż tak widać? Jeff zaśmiał się.

- Skarbie, nawet moja stara ciotka przejrzałaby was na wylot. Jakbyście mieli wypisane to na czole.

- Pewnie masz rację, Jeff - odparła bez troski. - Na wszelki wypadek jednak, gdyby miało okazać się, że nie jest to aż tak oczywiste dla reszty świata, czy mógłbyś zachować dla siebie własne spostrzeżenia?

- Ja? - Jeff dotknął kciukiem torsu, a w jego oczach malowało się zdumienie i niewinność. - Czy wyglądam na faceta, który...

- Jeffrey - przerwał mu Sullivan. - Chodźmy po walizki. Jesteśmy zmęczeni i chcielibyśmy jak najszybciej wrócić do domu.

- Masz pecha, stary - stwierdził Jeff. - Cała nasza banda czeka u Leo i obiecałem, że was przywiozę.

- Nie obchodzi mnie, co komu naobiecowałeś, nie jedziemy tam.
- Ależ, Sul - wtrąciła Kay - to bardzo miło, że chcą nas zobaczyć.

Naprawdę nie możemy ich zawieść.

Sullivan skrzywił się.

- Daj spokój - zbeształ go Jeff. - Chcą postawić wam lunch. Byłoby niegrzecznie, gdybyście się nie pojawili.

Sullivan spojrzał zdumiony na przyjaciela.

- Niegrzecznie? Proszę, proszę, kto też uczy nas dobrych manier.
- Sul - odezwała się cicho Kay.
- Tak, skarbie? - Całą uwagę skierował na stojącą obok niego dziewczynę.
- Uważam, że powinniśmy do nich dołączyć.
- Dobrze.

Jeff Kerns zaśmiał się, widząc tak niezwykłą reakcję przyjaciela. Sullivan był jednak zbyt szczęśliwy, by przejmować się czymkolwiek.

Zespół Q102, także Sam Shults, rzeczywiście oczekiwał na nich u Leo. Witając się ze wszystkimi, Sullivan przez cały czas obejmował Kay. Serce dziewczyny przepełniała radość, również wtedy, gdy Sullivan, dyskutując na temat toczącej się rywalizacji pomiędzy rozgłośniami Denver, uniósł w pewnym momencie do ust jej dłoń i kolejno pocałował koniuszki palców.

Kay nie słuchała rozmowy. Czowała się zmęczona i szczęśliwa. Uśmiech igrał w kącikach jej ust, kiedy w myślach planowała już, jak spędzą wieczór. Gdy podniosła wzrok, napotkała spojrzenie Janelle Davis.

Janelle uśmiechnęła się natychmiast i w milczeniu skinęła głową Kay. Janelle odgadła, co wydarzyło się na wyspie i para kochanków miała jej błogosławieństwo. Kay ucieszyła się. W jakiś sposób zależało jej na aprobacie tej właśnie kobiety.

Janelle wyczytała w oczach Kay miłość i wydawała się zadowolona.

Kiedy wreszcie Sullivan przepakował ich bagaże do swojego mercedesa, oboje usiedli w samochodzie i odetchnęli z ulgą.

- Jedziemy do ciebie czy do mnie? - zapytał, nakrywając ręką kolano Kay.

Dziewczyna przytuliła się do niego.

- Nie znoszę podejmowania decyzji.

Sullivan uśmiechnął się, kładąc sobie na udzie jej dłoń.

- A więc przez resztę dnia będziesz zwolniona od tego obowiązku.

Po drodze słuchali audycji Jeffa, co chwila wybuchając śmiechem.

Przepełniała ich radość i cały świat wokół wydawał się piękny, nawet zasypane śniegiem ulice Denver tchnęły dziwnym ciepłem. Wszystko ich bawiło. Śmiali się wciąż, kiedy obciążeni bagażami stanęli przed drzwiami mieszkania Sullivana.

Gdy znaleźli się w środku, Sullivan zostawił na podłodze walizki i szybko zajął się rozpaleniem ognia w kominku. Kay, nie rozbierając się, stanęła drżąc przed wysokimi, oszklonymi drzwiami. Wkrótce wesołe języki ognia ukazały się wśród ułożonych na ruszcie szczap i Sullivan podszedł do Kay.

Objął dziewczynę i uniósł do góry jej brodę.

- Myślisz, że mógłbym cię rozgrzać? Kay spojrzała na niego.

- Chcesz spróbować?

Sullivan uśmiechnął się, rozchylił jej płaszcz i wsunął ręce pod ciepły materiał.

- Tak - jego głos brzmiał nisko i ochryple. - Chcę rozpaścić ogień w twoim ciele.

Całował ją czule i nieśpiesznie. Przygarniał bliżej do siebie, a Kay chętnie poddawała się jego woli. Posłusznie przyłgnęła do ukochanego. Pozwalała na cudowną pieszczotę jego ust.

Kay ulegała jego dotykowi niczym glina w palcach wytrawnego mistrza. Zaś Sullivan wprawnie i ze znanstwem zamienił wkrótce jej drżące ciało w rozpalone, nagie dzieło sztuki.

Potem układając przed ogniem swą wspianą rzeźbę, tchnął w nią miłość i życie, samemu stając się jej częścią.

Następnego dnia Sullivan i Kay znów od rana prowadzili poranny program. Wspólna praca zawsze stanowiła wyzwanie, teraz jednak wszystko nabrało nowego znaczenia.

Kiedy grała muzyka, pieścili się i całowali. W studiu bezustannie rozbrzmiewał ich radosny śmiech. Każda rzecz tego dnia wydawała się zabawna i przyjemna. Ich miłość wszystko wokół napełniała swym ciepłem, muzyka brzmiała weselej, kawa smakowała lepiej niż kiedykolwiek.

Podczas kolejnego długiego nagrania Kay pochyliła się ku Sullivanowi i spytała szeptem:

- Gdzie są wyniki rywalizacji pomiędzy stacjami?

W oczach Sullivana dostrzegła dziwny, zagadkowy błysk.

- Nadejdą lada dzień, Kay. - Uśmiechnął się.

- Chyba nie martwisz się o naszą pozycję?

- Nie. - Jego głos zabrzmiał szorstko i nieprzyjemnie.

- Sullivanie - patrzyła mu prosto w oczy - czy coś się stało? Wydawało mi się, że dosyć wysoko oceniałeś nasze szanse. Skąd więc...

- Kochanie. - Delikatnie pogłodził jej policzek. - Jestem pewien, że nasza audycja dostanie najwyższe oceny.

- Nic nie rozumiem. - Przyglądała się uważnie jego twarzy. - Kiedy poruszyłam ten temat... nie wiem... - wzruszyła ramionami - odniosłam wrażenie, że zasmuciłeś się.

- Skarbie - zaśmiał się swobodnie i pochylił do przodu. - To tylko twoja wyobraźnia. A teraz obejmij mnie, proszę, zanim skończy się ta piosenka.

Kay przytuliła się mocno, opierając policzek na piersi mężczyzny. Tak bardzo go kochała.

Sullivan przygarniał ją, starając się pokonać strach, który bolesnym uciskiem wypełnił jego podbrzusze. Nie miał wątpliwości, że zajmą znakomitą pozycję i że o ich sukcesie będzie głośno w całym radiowym świecie.

Podczas przerwy na wiadomości w studiu pojawił się nieoczekiwanie podekscytowany Jeff Kerns, za którym podążał uśmiechnięty od ucha do ucha Sam Shults.

- Sullivanie, Kay... - zaczął Sam, spoglądając z dumą na swoich najlepszych prezenterów - wyniki są jeszcze lepsze, niż oczekiwaliśmy! Wasz poranny program zdobył szesnaście procent... więcej niż w naszych najsmielszych oczekiwaniach. Gratulacje dla was obojga. Jesteście duetem absolutnie niepokonanym, wszyscy inni pozostają daleko w tyle.

Korpulentny mężczyzna uściśnął serdecznie dłoń Sullivana i cmoknął Kay w policzek.

- Szampan chłodzi się w moim biurze. Przyjdźcie, proszę, gdy tylko skończycie. - Obrócił się ku wyjściu, by potem raz jeszcze przystanąć z dłonią na kłamec.

- Tak się cieszę, dzieci. Z powodu tych fantastycznych wyników i... w ogóle. Wiecie, o czym mówię. - Na twarzy Sama pojawił się rumieniec.

- Nie, nie wiemy, co takiego chciałeś nam powiedzieć, szefie - nalegał przekornie Jeff.

Sam Shults potrząsnął głową, zrobił wymowny gest w kierunku Jeffa i wyszedł.

- A więc - Jeff zwrócił się do Kay i Sullivana - jak podobają się wam wyniki? - Sullivan studiował uważnie wskaźniki popularności. - Nawet ja zyskałem jeden procent. Największym przegranym jest K105. Wyprzedzamy ich w dokładnie każdym przedziale czasowym. Wy dwoje musieliście odebrać im chyba wszystkich słuchaczy.

- Naprawdę, Sul? - Kay oparła się na ramieniu Sullivana, wraz z nim oglądając wydrukowane na kartce liczby. - Czy rzeczywiście pokonaliśmy naszego najgroźniejszego rywala?

- Ty tego dokonałaś, skarbie. - Sullivan wciąż nie podnosił wzroku. - To twoja zasługa.

- Nie, Sul, to my przyciągnęliśmy ich słuchaczy. Sullivan spojrział na twarz swojej partnerki.

- Jesteś słodka, lecz w zeszłym roku...

- Do licha, Sullivan - wtrącił się Jeff, gdy Kay przyglądała się z niepokojem dziwnie zmienionym rysom ukochanego. - Człowieku, rozpaczasz, trzymając w rękach wielką wygraną. Co takiego mogłoby cię rzeczywiście zadowolić? - Jeff pokręcił głową. - Idę uraczyć się szampanem. Do zobaczenia później.

- Sullivanie Ward, posłuchaj mnie - zaczęła Kay po wyjściu Jeffa. - Ty i ja, powtarzam, odnieśliśmy sukces. Nie ja i nie ty, lecz my. Nas dwoje razem to dopiero prawdziwy przebój. Tworzymy zespół i wspólnym wysiłkiem pokonaliśmy rywali.

Sullivan podniósł na nią wzrok. Kay uśmiechnęła się, choć jej niebieskie oczy wydawały się zatroskane. Czuł, jak jego serce przepelnia miłość do tej pięknej kobiety, która była równie urocza jak kochana. Uniósł rękę, by wsunąć palce w jej miękkie, lśniące włosy.

- Pocałuj mnie, partnerko. - Jego głęboki głos brzmiał miękko i czule.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tydzień po nadejściu wyników rywalizacji między rozgłośniami Kolorado był czasem błęgiego szczęścia dla ulubionego przez wszystkich duetu radia Q102. Kay i Sullivan spędzali razem każdą chwilę, z radością poznając nawzajem swoje przyzwyczajenia i charaktery.

Kay zauważyła, że Sullivan zawsze nakłada najpierw skarpety, a dopiero później spodnie. Chichotała wesoło, obserwując, jak ukochany zawiązuje przed lustrem krawat ubrany w koszulę i skarpety, gdy jego muskularne, szczupłe nogi wciąż pozostawały gołe.

Stwierdziła również, że tuż przed spaniem Sullivan zawsze czesze włosy i uznała ten zwyczaj za niesłychanie uroczy. Zaraz po przebudzeniu sięgał po papierosa. Na śniadanie pił czarną kawę do sadzonych jajek z grzankami. Sącząc świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy, Kay zastanawiała się, jak można w ogóle przełknąć cokolwiek o godzinie czwartej trzydzieści rano.

Także Sullivan dowiedział się wiele o swojej towarzyszce. Kay była czarującą, inteligentną rozmówczynią, lecz nigdy nie odzywała się przez co najmniej czterdzieści pięć minut po przebudzeniu. Była śliczna i urocza, kiedy otwierała o świcie oczy; jej srebrne włosy leżały rozsypane na poduszce, usta wydawały się tak ciepłe, kiedy budził ją pocałunkami. Jakie mogło mieć znaczenie to, że na czole Kay pojawiała się zmarszczka, gdy próbował pytać ją o cokolwiek?

Teraz też dopiero Sullivan zdał sobie sprawę, jak samotne wiódł dotąd życie bez kobiety, której dźwięczny śmiech był najśłodsza muzyką dla jego uszu. Kiedy tylko rozłożył ramiona, a zdarzało się to często, Kay natychmiast przytulała się do niego, przerywając każdą wykonywaną w danym momencie czynność. Była jego słodką, najmiłszą Kay; mógł ją pieścić, uczyć, kochać.

I tak miało być zawsze.

Sullivan i Kay doskonale wiedzieli, że sukces ich programu sprawiał, że oni sami stali się znacznie cenniejszymi pracownikami dla swojej rozgłośni. Często rozmawiali o tym, jak dużej podwyżki powinni zażądać teraz, kiedy czas reklamowy w trakcie ich audycji zaczął przynosić Q102 kilkakrotnie większe zyski.

Tego dnia przeglądali właśnie w gabinecie Sullivana zdjęcia z podróży na wyspy Bahama, które Kay zrobiła swoim nowym, maleńkim aparatem, gdy przeszkodził im dzwonek telefonu. Sullivan skrzywił się, naciskając guzik głośnika.

- Tak? - zapytał.

W pokoju rozległ się szczebiotliwy głos Sherry Jones.

- Sullivanie, czy jest u ciebie Kay?

- Tak.

- To dobrze. Powiedz jej, że ma bardzo ważny telefon z ABC. - To rozgłośnia z Nowego Jorku dodała Sherry. Wiesz o tym?

- Tak - odparł. - Wiem. Powtórzę jej.

- To dobrze. Rozmowa jest na linii numer trzy. Powiedz Kay, że to pilne. Sullivan wyłączył głośnik.

- Słyszałaś, Kay. Rozmowa na trzeciej linii.

- Podaj mi słuchawkę, proszę.

- Może wolałabyś porozmawiać bez świadków? Kay wstała, odpowiadając mu z uśmiechem:

- Dlaczego miałabym chcieć to zrobić? Nie mam przed tobą tajemnic. - Pochyliła się do przodu i wcisnęła migające światelko, podnosząc do ucha słuchawkę. - Tu Kay Clark.

Sullivan rozparł się wygodnie w fotelu, obserwując uważnie Kay. Widział, jak jej oczy rozbliły, i poczuł w żołądku bolesny ucisk. Kay nawijała nerwowo na palec kosmyk włosów, kiwając głową.

- Tak, tak. Ja... Cóż, dziękuję. - Słuchała przez kilka minut, a potem odezwała się znowu. W jej głosie brzmiało podniecenie, oczy lśniły radośnie.

Sullivan cały czas nie zmienił swojej wygodnej pozycji. Wydawał się zupełnie odprężony i beztroski. Po skończonej rozmowie Kay przyznała uczciwie, że dyrektor programowy ABC w Nowym Jorku zaproponował jej prowadzenie porannej audycji wspólnie z ich obecnym, również wysoko notowanym prezenterem.

Sullivan powoli wyprostował się. Jego wzrok był zimny, kiedy zapytał ostrym, nieprzyjemnym tonem:

- A więc, kiedy wyjeżdżasz?

Kay spojrzała na niego i roześmiała się.

- Wyjeżdżam? Sul, nie powiedziałam...

W jego twarzy odmalował się gniew.

- Powiedziały to za ciebie twoje oczy. - Jego głos brzmiał teraz niemal opryskliwie. Wcisnąwszy ręce w kieszenie, podszedł do okna.

Kay poczuła strach. W jego spojrzeniu była groźba i wściekłość. Wiedziała, że jeśli natychmiast nie wyjaśni wszystkiego, może raz jeszcze go utracić. Podeszła, by położyć rękę na ramieniu Sullivana.

- Posłuchaj, nie...

Mężczyzna obrócił się gwałtownie.

- Słuchać? Zrobiłem to, Kay. I nie pamiętam, by te cudne usta wypowiedziały słowo: nie.

Kay ogarnęło przerażenie.

- Nie powiedziałam również: tak. Na Boga, mógłbyś to docenić.

- Docenić? - powtórzył za nią. - Och, kochanie, doceniam ciebie i wszystko, co robisz. Jesteś najśłodszym głosem radia. - Jego oczy ciskały teraz prawdziwe błyskawice. - Nowy Jork! - Potrząsnął głową.

- Dokładnie to, czego chciałaś.

- Nie mam zamiaru tam jechać. Sul, ja tylko...

- Dlaczego nie, u diabła? - warknął. - Przecież na to czekałaś, prawda?

- Nie, i dobrze o tym wiesz. - Kay również zaczynała tracić cierpliwość.

- W Nowym Jorku jest twoje miejsce, tak mi kiedyś powiedziałaś.

- Powiedziałam... ponieważ zmusiłeś mnie do tego.

- Do diabła, nigdy nie zmuszałem cię do mówienia lub robienia czegokolwiek. - Pochylił się nisko, patrząc prosto w jej oczy. - Kiedy masz zamiar wziąć na siebie odpowiedzialność za to, co robisz?

- To samo mogłabym powiedzieć o tobie, Sullivanie. - Kay zacisnęła pięści, starając się odzyskać panowanie nad sobą. - Sullivanie, nie pozwól, żeby to się stało. Nie pozwól, by cokolwiek stało się z naszą...

- Znów ta twoja logika - przerwał jej ze złością.

- Na cóż ja takiego pozwoliłem? Żebyś skorzystała z mojego telefonu?

Odpowiedz mi. Czy o to chodzi?

- Nie mogę w to uwierzyć. - Potrząsnęła głową.

- Cóż, jeśli o to chodzi, skarbie, musisz uznać moją przewagę. Ja z łatwością wierzę we wszystko, co słyszę od ciebie. I jeśli sądzisz, że mam do ciebie pretensje, możesz przestać się martwić. - Sullivan odwrócił się i ruszył do drzwi.

Kay natychmiast rozluźniła pięści i chwyciła go za ramię.

- Nie, nie odchodź! Do licha, Sullivanie, nie pozwolę ci na to. - Jej ręce drżały, a policzki oblewał gorący rumieniec. - Stań tutaj, spójrz mi w oczy i powiedz, że chcesz, bym została z tobą!

- Nie licz na to, kochanie - odparł z niesmakiem Sullivan. - Nie mam zamiaru dać ci tej satysfakcji.

- Satysfakcji? - Spoglądała na niego z niedowierzaniem. - To naprawdę nie brzmi sensownie. Przecież chcę jedynie usłyszeć, że potrzebujesz mnie, że nie chcesz, bym wyjechała.

Twarz Sullivana pokrywał silny rumieniec, kiedy odpowiadał Kay.

- Nie zrobię tego!

- Dlaczego nie? - Kay krzyczała teraz, czując, że sytuacja wymyka się spod jej kontroli. - Proszę, Sul, proszę. - Jej głos załamywał się, czuła pod powiekami niepokojące pieczenie. - Czy zawsze musisz być taki ślepy i uparty?

- To ty jesteś ślepa, Kay. Nie potrafisz spojrzeć z boku na samą siebie. Szkoda, że nie widziałaś swoich oczu podczas tej telefonicznej rozmowy. - W jego głosie brzmiał teraz smutek. - Twoje oczy mówiły tak wiele. Zbyt wiele, bym mógł o tym po prostu zapomnieć.

- Nie. - Tak bardzo pragnęła wytłumaczyć mu wszystko. - Nie jest tak, jak myślisz. - Mocno ścisnęła jego ramię. - Kochanie, oczywiście, byłam podniecona. Najbardziej prestiżowa stacja radiowa Nowego Jorku zaproponowała mi pracę. Nie mogę zaprzeczyć, że bardzo mi to pochlebia i że cieszę się, ale...

- Kay, rozumiem, naprawdę rozumiem. Każdy byłby zachwycony, otrzymując ofertę pracy od jednej z największych rozgłośni w kraju. - Mówił teraz niskim, spokojnym tonem, opanował już własne zdenerwowanie, lecz, z jakiegoś powodu, to bardziej jeszcze przerażało Kay. - Skarbie, to twoja życiowa szansa. Bardzo się cieszę. - Sullivan uśmiechnął się.

Jej serce łomotało jak szalone.

- Sul. - Westchnęła. - Proszę, nie... och, Boże, Sullivanie, powiedz mi, żebym została. Nie pozwól mi odejść.

Przez chwilę, długą niczym wieczność, stali naprzeciw siebie, nie mówiąc nic. Ich cały świat zdawał się chwiać na brzegu przepaści.

- Kay, nie będę prosił cię, byś została. Kay odetchnęła głęboko.

- Tym razem to tylko twoja wina. - Słowa dyktowała jej zraniona duma i upór. - Wyjadę. Będę pracować najlepiej jak tylko potrafię, i z czasem zapomnę o tobie. - Podniosła dłoń do jego twarzy, pragnąc, by spojrzał na nią. W oczach Sullivana dojrzała żal, lecz mimo to zdecydowanym krokiem ruszyła do drzwi.

Kay wstała z kanapy, wzdychając ciężko. Odruchowo skierowała się do kuchni i otworzyła drzwiczki lodówki. Białe, czyste wnętrze tchnęło pustką. W środku znalazła tylko kilka butelek coli i puszkę zupy. Nie miało to żadnego znaczenia. Nie czuła się głodna.

Jutro uzupełni zapasy. Nie było pośpiechu. Wsunęła ręce w kieszenie dżinsów i wróciła do salonu.

Ostatnie promienie słońca obsypywały złotym blaskiem najwyższe wzniesienia gór. Różne odcienie różu i purpury tworzyły cudowne pastelowe tło dla majestatycznych szczytów zalanych miękkim światłem zmierzchu.

Mniej więcej o tej porze każdego wieczoru Sullivan wyłączał wszystkie lampy, a potem w ciasnym objęciu ich dwoje leżało na pluszowym dywanie naprzeciw wysokiego okna, obserwując magiczną grę kolorów. Spoglądali w niebo, dopóki wśród cieni majaczyły się kontury Gór Skalistych.

Kay uklękła przed szerokimi balkonowymi drzwiami, spoglądając w stronę dalekiego horyzontu. Kiedy przysiadła na bosych piętach, z jej oczu potoczyły się łzy. Ramionami dziewczyny wstrząsało łkanie. Płacz przynosił ulgę. Do pokoju powoli wkradał się mrok, zasnuwając wszystko ciemnym całunem, tak dobrze pasującym do smutnego nastroju młodej kobiety.

Kiedy spotkali się w studio następnego ranka, Sullivan był chłodny i uprzejmy. Nie rozmawiali wiele i tylko wówczas, gdy było to konieczne, niczym para nie znanych sobie ludzi. Jedynie podczas audycji żartowali i gawędzili jak zawsze pogodnie, sprawiając wrażenie, że od rana towarzyszy im radosny nastrój.

O dziesiątej Sullivan zapowiedział wiadomości, a potem wstał ze swego fotela i bez słowa opuścił studio.

Kay przez chwilę jeszcze pozostała na swoim miejscu. Kiedy podniosła się i milcząco skinęła głową Asowi Pik, podjęła już decyzję. Przeszła prosto do swego biura, skąd zadzwoniła do Nowego Jorku. Potem odetchnęła głęboko i stanowczym krokiem ruszyła w stronę gabinetu Sullivana.

- Sullivanie - oświadczyła, kiedy chwilę później stanęła przed jego biurkiem. - Potrzebuję kilku dni wolnego. - Mężczyzna powoli podniósł wzrok znad leżących przed nim papierów. - Z powodów osobistych chciałabym wziąć urlop na poniedziałek i wtorek.

- Oczywiście, Kay. - Zaskoczyła ją ta natychmiastowa zgoda. - Nie widzę problemu.

- Sullivanie, powód, dla którego chciałabym opuścić...

- Nie musisz się tłumaczyć - przerwał jej. - Nie opuściłaś nawet jednego dnia. Należy ci się urlop. - Znów zajął się leżącymi na biurku dokumentami.

- Dziękuję - powiedziała Kay i zawahała się przez moment. - Zastanawiałam się, czy mogłabym przyjść do ciebie dziś wieczorem i zabrać swoje rzeczy.

- Oczywiście - odparł, nie podnosząc głowy.

Kay rozczesywała długie, mieniące się srebrem włosy z sercem przepełnionym nadzieją. Być może, kiedy znów znajdą się sami w jego mieszkaniu, Sullivan złamie się i poprosi, by została. W jednej chwili rzuciłaby się w jego ramiona, obiecując, że nigdy nie opuści go nawet na najkrótszą chwilę.

Kay pragnąc wyglądać tego dnia atrakcyjnie, z zadowoleniem obciągnęła błękitny sweter. Niewielka złota moneta na łańcuszku spoczywała pomiędzy jej piersiami. Obcisłe dzinsy podkreślały łuki bioder i szczupłą talię. Kay schwyciła z wieszaka szarą, wełnianą kurtkę i pospieszyła do zaparkowanego przed domem porsche'a.

Jej serce przepełniało przyjemne podniecenie, kiedy zapukała do drzwi Sullivana.

- Cześć - powitał ją w progu.

W tej samej chwili uśmiech zamarł na ustach Kay. Spoglądała bez słowa na elegancko ubranego mężczyznę. Jego czarne skórzane buty lśniły, jakby dopiero co zostały wypolerowane. W mankietach śnieżnobiałej koszuli błyszcząły złote spinki. Wszystko wskazywało na to, że Sullivan przygotowywał się właśnie do wyjścia.

- Nie... zajmę ci wiele czasu - oświadczyła Kay nieśmiało, czując, jak jej policzki pokrywa rumieniec.

- Na pewno się śpieszysz i...

Sullivan uśmiechnął się, zabrał z jej ręki pustą walizkę i postawił na dywanie. Potem odebrał od niej kurtkę.

- Nie ma pośpiechu - uspokoił ją. - Jestem umówiony na kolację, ale dopiero za godzinę.

- Dobrze - odparła. Miała ochotę uderzyć pięściami jego szeroki tors. Miała ochotę krzyknąć i targać gęste, czarne włosy. - To nie powinno potrwać długo - zapewniła go, ruszając w stronę sypialni.

- Wiesz, gdzie jest wszystko - powiedział uprzejmie, nie czyniąc żadnego ruchu, by pójść za nią.

Kay była z tego zadowolona. Obawiała się, że Sullivan mógłby zauważyć jej trzęsące się ręce. Przystąpiwszy próg pokoju, natychmiast dostrzegła swoje rzeczy starannie złożone na brzegu dużego łóżka.

Na samym wierzchu leżały trzy ciepłe nocne koszule. Pamiętała, jak Sullivan roześmiał się, gdy pierwszej nocy wyjęła przed snem długą, flanelową szatę.

- W moim łóżku, skarbie, nie będzie ci to potrzebne. Ja sam cię ogrzeję - oświadczył z błyskiem w oczach.

Ze splonioną twarzą Kay zgarnęła szybko swoje rzeczy.

- A ja zadałem sobie tyle trudu, by to wszystko poskładać - usłyszała od progu karcący głos Sullivana.

- Trochę się śpieszę. Zajmę się tym w domu. - Wrzuciła wszystko do podanej przez Sullivana walizki.

W kilka sekund ubrania, zgniecione i wymieszane ze sobą, leżały gotowe do zabrania w skórzanej torbie.

- Skończyłam - oświadczyła jednym tchem.

Miała ochotę krzyknąć, gdy usłyszała jego spokojny głos.

- Niezupełnie. - Uśmiechnął się i przeszedł do łazienki, by po chwili wrócić z kilkoma szczoteczkami do zębów. Kay szybko wyrwała mu je z rąk i podniosła z łóżka spakowany bagaż. Pośpiesznie przeszła obok Sullivana, ten jednak dogonił ją z łatwością.

- Zniosę to na dół - powiedział, odbierając Kay torbę.

- To zupełnie niepotrzebne. - W jej głosie zabrzmiały piskliwe nuty i Kay zdała sobie sprawę, że lada chwila może stracić kontrolę nad nerwami.

- Jednak zrobię to - oświadczył. - Włóż kurtkę.

Kay nie miała ochoty się spierać. Milczeli, kiedy Sullivan znosił jej walizkę. Gdy zatrzasnął klapę bagażnika, Kay siedziała już za kierownicą. Nie

pożegnała się i nie podziękowała mu za pomoc. Ruszyła natychmiast, zostawiając w tyle wysokiego, przystojnego mężczyznę, na którego twarzy malował się smutek.

Janelle Davis przyłożyła dłonie do skroni. Hałas dochodzący zza ściany przyprawiał ją o ból głowy. To już trzeci dzień z rzędu Sullivan bez ustanku podciągał się z wysiłkiem na umocowanym w jego gabinecie stalowym pręcie. Zmęczony opadał z łoskotem na podłogę, by po dziesięciu minutach znów od nową rozpoczynać wyczerpujące ćwiczenia.

Janelle wiedziała doskonale, co trapi Sullivana. Sherry opowiadała wszystkim, że Kay Clark otrzymała ofertę pracy od radia ABC z Nowego Jorku. Janelle potrząsnęła fiolką aspiryny, wyobrażając sobie, że trzyma w rękach nie lekarstwo, lecz Kay Clark.

Tydzień ciągnął się niemiłosiernie długo. Kay wciąż miała nadzieję, że Sullivan wreszcie poprosi ją, by nie wyjeżdżała, że zadzwoni, mówiąc, by z powrotem przeniosła się do jego mieszkania.

W piątek po skończonym programie zostali w studiu, by przygotować reklamówki dla przedsiębiorstwa produkującego obuwie. Nagrywane przez nich teksty okazały się tak zabawne, że wciąż musieli przerywać pracę, by zaczynać od nowa. To, co miało zająć im nie więcej niż pół godziny, przeciągnęło się na ponad dwie. Wśród wybuchów śmiechu oboje zapomnieli, że właśnie tego dnia Kay ma wyruszyć w swoją podróż do Nowego Jorku. Wreszcie, kiedy już skończyli, Kay zeskoczyła z wysokiego stołka, spoglądając z żalem na zegar.

- Muszę iść. Czeka mnie pakowanie.

- O, tak - odparł swobodnie Sullivan - idź.

Zapominając na moment o własnej dumie, Kay położyła dłoń na ramieniu mężczyzny, który ruszał już do drzwi. Sullivan obrócił się do niej.

- Wyjeżdżam wieczorem, ale dopóki samolot nie wystartuje... - Reszta pozostała nie dopowiedziana. Jej oczy zaszklily się i Kay nie ufała już swojemu głosowi. Rysy Sullivana były twarde, jego wzrok zimny i spokojny.

- Powodzenia, Kay - powiedział, a potem szybko wyszedł ze studia.

Skierował się prosto do swojego gabinetu, gdzie natychmiast znów zawisł na stalowym drążku. Kilka minut po trzeciej, nie mogąc znieść dłużej hałasów tego nieprzerwanego treningu, Janelle Davis zapukała do drzwi pokoju Sullivana.

Nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. Sullivan bez koszuli, z kropelkami potu błyszczącymi na torsie i ramionach, powoli opuścił się na ziemię.

- Odlatuje o siódmej bezpośrednio do Nowego Jorku. - Patrzyła prosto w jego oczy. Sullivan nie odzywał się. - Sprawdziłam - ciągnęła Janelle - są jeszcze miejsca na ten lot. - Uśmiechnęła się do milczącego Sullivana i wyszła, nie mówiąc nic więcej.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kay podała bilet stewardesie, która wskazała jej miejsce z przodu kabiny samolotu. W pierwszym rzędzie siedziała już starsza para. Uwagę kobiety pochłaniała całkowicie szydełkowa robótka. Tuż za nimi odpoczywało dwóch wyraźnie zmęczonych biznesmenów. W ostatnim rzędzie Kay dostrzegła jedynie parę długich nóg w szarych, flanelowych spodniach skrzyżowaną poniżej ostatniego numeru „Wall Street Journal”.

Kay zajęła miejsce przy oknie i zapięła pas. Niemądry strach sprawił, że jej żołądek zamienił się w ciasny węzeł. Obserwując wsiadających pasażerów, zapomniała na moment o swoich zmartwieniach. Potem znów zaczęły pocić się jej dłonie, kiedy samolot wolno ruszył w kierunku pasa startowego.

Ze wzrokiem utkwionym w maleńkim okienku Kay zaciskała kurczowo palce na oparciu fotela. Kiedy koła samolotu zaczęły odrywać się od ziemi,

poczuła, że jej drżącą rękę nakryła ciepła, męska dłoń. Obróciła się gwałtownie. Obok niej siedział uśmiechnięty Sullivan Ward.

- Pamiętam, że zawsze denerwujesz się podczas startu. - Jego głęboki, spokojny głos nigdy nie brzmiał dla Kay cudowniej niż w tej chwili. Mężczyzna nachylił się ku niej, ujmując teraz obie, zimne dłonie Kay. - Jesteś bezpieczna, kochanie. Jestem z tobą. Wszystko będzie dobrze.

Sullivan uśmiechał się, a w jego oczach lśniła czułość. Cały strach Kay rozplynął się bez śladu.

- Pewnie chcesz wiedzieć, skąd się tutaj wziąłem - powiedział, kiedy szybowali już wysoko ponad chmurami.

- Tak - przyznała. - Cokolwiek jednak sprowadza cię tutaj, cieszę się, że jesteś ze mną.

- Jesteś słodka. Dzięki temu łatwiej będzie mi powiedzieć to, co leży mi na sercu. - U przechodzącej obok stewardesy Sullivan zamówił szampana. - Obiecuj - mówił, patrząc w niebieskie oczy Kay - że odpowiesz szczerze na moje pytanie.

- Dobrze - odparła, spoglądając ufnie w jego ciemne oczy.

- Kocham cię, Kay, i pragnę, byś została ze mną. Musisz być jednak pewna, że nigdy nie będziesz tego żałować.

- Sul, żałowałabym jedynie wtedy, gdybym znów miała utracić twoją miłość. Przecież wiesz o tym.

- Dlaczego więc lecisz teraz w kierunku Nowego Jorku?

- Ponieważ - przyznała ze skruchą - jestem pewnie równie uparta jak ty.

- Kay, to słodkie, co mówisz, ale czy jesteś rzeczywiście przekonana, że za rok nie będziesz żałowała tej decyzji? - W jego głosie słyszała miłość i zrozumienie.

- Możesz wierzyć lub nie, ale kocham cię tak bardzo, że chciałbym...

- Jedyne, czego pragnę, to prowadzić wraz z tobą program w Denver - przerwała mu Kay.

- To wszystko, czego pragniesz? Na pewno?

- Bez cienia wątpliwości - potwierdziła Kay.

Usta Sullivana wygięły się w szerokim uśmiechu.

- W takim razie dobrze, że zarezerwowałem dla nas apartament z widokiem na park w hotelu Pierre. Jak podoba ci się pomysł spędzenia miodowego miesiąca w Nowym Jorku?

Kay spoglądała na niego bez słowa.

- Sul... - powiedziała wreszcie - mówisz poważnie? Jak to możliwe... Nie wiem, w jaki sposób...

- Kay, po tym ostatnim strasznym tygodniu wiem jedno. Nie potrafiłbym żyć bez ciebie. Podjąwszy taką decyzję, wiedziałem, że będę musiał zapomnieć o swojej dumie i pojechać za tobą. A więc jestem tutaj, kochanie. Chcę ciebie, pragnę poślubić cię w Nowym Jorku i spędzić miodowy miesiąc w hotelu Pierre. Powiedziałem Samowi, że weźmiemy tydzień urlopu. Zgodził się i teraz wszystko zależy od ciebie.

- Odpowiedź brzmi: tak!

Sullivan roześmiał się.

- Nie potrzebujesz kilku dni do namysłu?

- Sul, powiedziałeś mi już, czego chcesz; a wiesz, o czym ja marzę?

- Tak, kochanie?

- Pragnę poślubić ciebie tak szybko, jak tylko jest to możliwe. Chcę, żebyśmy spędzili cały tydzień w tym wynajętym apartamencie. Marzę o tym, by przez następnych dwadzieścia lat wraz z tobą prowadzić poranną audycję w Q102. Chcę mieć z tobą dzieci i...

- Skarbie - Sullivan pochylił się bliżej - czy byłabyś bardzo zawstydzona, gdybym pocałował cię w tej chwili?

Zamiast odpowiedzi Kay zwróciła ku niemu rozchylone wargi. W oczach Sullivana jaśniała miłość, kiedy pochylił się ku narzeczonej.

- Pocałuj mnie tak, jakby nikogo nie było w pobliżu - poprosił cicho.

- A jest tutaj ktoś? - szepnęła, czując na wargach smak delikatnych męskich ust.

Kay objęła szyję Sullivana, by przyciągnąć go bliżej. Językiem obrysowała kształt jego warg. Sullivan otworzył usta, całując ją teraz namiętnie i czule.

Zapominając całkiem, gdzie są, oddali się cudownej pieśczoście, którą przerwało dopiero pojawienie się stewardesy. Spłoniona kobieta stała ponad nimi, trzymając przed sobą tacę z kieliszkami.

- Przepraszam, lecz... - zaczęła.

- Przepraszam - Sullivan uśmiechnął się szeroko - lecz ta oto pasażerka właśnie zgodziła się zostać moją żoną. Uznałem, że należy mi się pocałunek.

- Jak najbardziej się z panem zgadzam - powiedziała pogodnie stewardesa. - Proszę przyjąć moje gratulacje. - Kobieta uśmiechnęła się do Kay i odeszła do swoich obowiązków.

- Sul?

- Hmm?

- Czy pocałujesz mnie jeszcze raz? - spytała Kay, popijając szampana.

- Nie, przepraszam. - Również Sullivan podniósł do ust kieliszek z musującym płynem.

- Nie?

- Wiesz, jak działają na mnie twoje pocałunki.

- Sul?

- Tak?

- Czy wiesz, jak bardzo cię kocham?

- Na pewno nawet w połowie nie aż tak bardzo jak ja ciebie.

Kay otworzyła zaspane oczy. Zdezorientowana spoglądała na ciekące po szybie wysokiego okna strużki deszczu. Powoli obróciła głowę.

Tuż nad sobą dojrzała uśmiechniętą twarz przystojnego mężczyzny. Nie odrywając rozkochanego spojrzenia od jej oczu, Sullivan odgarnął na bok srebrzysty pukiel.

- Moja piękna, słodka żona.

Kay pogładziła jego policzek i otwierała już usta, by coś powiedzieć, ale Sullivan ją powstrzymał.

- Kay. - Musnął wargami jej usta. - Wiem, że zaraz po przebudzeniu wolisz nic nie mówić. To nie ma znaczenia. Kocham cię i nie rozmowa jest dla mnie najważniejsza.

Kay uśmiechnęła się, odpowiadając mu wciąż jeszcze sennym głosem:

- Dzień dobry, mężu. - Potem uniosła głowę, czekając na jego pocałunek.

Sullivan zadrżał, obejmując mocniej jej ciepłe ciało.

- Tyle rzeczy zaplanowałem na dzisiaj. Czekają na nas muzea, galerie, Statua Wolności, ale niech mnie licho porwie, jeśli to za oknem nie jest deszczem - szepnął i ukąsił delikatnie miękkie ciało tuż pod uchem Kay.

Dziewczyna westchnęła, oplotła ramionami szerokie plecy męża i przymknęła oczy.

- Jestem bardzo rozczarowana. Myślisz, że będziesz w stanie dostarczyć mi innej rozrywki?

Sullivan znaczył pocałunkami drogę w dół jej aksamitnie gładkiej szyi.

- Będę potrzebował twojej pomocy. - W jego głosie słychać było żar pożądania.

- O co tylko poprosisz. - Kay obróciła ku niemu twarz.

Sullivan uniósł głowę i przez długą chwilę patrzył w błękitne oczy swojej nowo poślubionej żony. Potem ich usta spotkały się w gorącym, namiętym pocałunku. Kay przyłgnęła mocno do twardej piersi męża.

- Chciałabym, żebyś mi coś obiecał, Sul - poprosiła.

- Czego tylko zapragniesz, skarbie - szepnął.

- Nie każesz mi oglądać żadnych galerii ani przedstawień na Broadwayu podczas tej podróży.

Sullivan nie wahał się długo.

- Obiecuje, najdroższa - odpowiedział, znów biorąc ją w ramiona i przygarniając mocno. Ich nagie ciała cudownie splotły się ze sobą.

Sullivan i Kay Ward, najpopularniejszy duet radiowy Kolorado, tutaj, w Nowym Jorku, cieszyli się całkowitą anonimowością. Mogli pójść dokądkolwiek i nie zostaliby rozpoznani przez uszczęśliwionych nieoczekiwanym spotkaniem wielbicieli.

Nie chcieli jednak skorzystać z tej okazji. Kiedy zimny wiatr hulał po ulicach ogromnego, gwarne miasta, nowożeńcy pozostali w przytulnym hotelowym apartamencie. Teraz, kiedy odnaleźli miłość, nie pragnęli niczego więcej.

RS